
cena
50 gr.
nr. 14
Swiat
dziewcząt

Rok I. Warszawa, dnia 10 maja 1933 r. Nr 14.

Świat Dziewcząt

WYCHODZI 1-go 10-go i 20-go KAŻDEGO MIESIĄCA

TRZEBA SIĘ ŚMIAĆ

Co to znaczy: trzeba się śmiać? Na zamówienie, czy też bez powodu, w smutnych lub tragicznych okolicznościach wybuchać hucznym śmiechem, aby „mile" zdziwione otoczenie mogło sobie co prędzej przypomnieć pewne niezbyt przyjemne ludowe przysłowie, głoszące światu, kogo to poznajemy „po śmiechu jego"? Nie, do tego stanowczo nie mogłabym zachęcać, mając zbyt wiele szacunku dla umysłowości i taktu czytelniczek „Świata dziewcząt". O czem innem myślę w tej chwili i zaraz to wyjaśnię.

Jest w życiu człowieka taki cudny okres, który poeci nazwali przedwiośniem, a zwyczajni ludzie — poprostu pierwszą młodością. W tej pięknej chwili właściwe życie jeszcze się jakby nie zaczęło; my dopiero na nie czekamy z niezwykłą potęgą zainteresowania. Wtedy tak nas wszystko bawi, tak cieszy, że ciągle, ciągle chce się śmiać.

I są młode dziewczęta, śmiejące się pełną piersią, zarażające swoją wesołością innych. Ale spotyka się często takie, które z tego boskiego daru nie korzystają dla tych, lub innych powodów. Można nawet wśród nich przeprowadzić pewną klasyfikację (niby w botanice) i podzielić je na grupy.

Pierwsza grupa: młodociane niewiasty lekceważą sobie miłe okazje śmiechu, wydymają pogardliwie usteczka i mówią wyniosłym tonem: „Ja się z byle czego śmiać nie umiem". To źle, to grzech prawdziwy nie śmiać się, kiedy można, kiedy się w głębi duszy ma ochotę. I do tych właśnie istot, którym się zdaje, że są ponad śmiech wyższe, wołam wielkim głosem: koniecznie trzeba się śmiać! Śmiech dodaje sił do pracy! Śmiech krzepi!

Do drugiej grupy należy zaliczyć te dziewczęta, które się śmiać lubią, ale się tego wstydzą, nie doceniając należycie wartości śmiechu. Wstydzą się, zwłaszcza wobec koleżanek, które uchodzą za „bardzo mądre" właśnie dlatego, że nigdy się nie śmieją. Czasem śmiech się rozlegnie serdeczny, niekłamany, lecz gdy tylko owa mądra koleżanka zjawi się w pokoju, to biedactwo ściąga pracowicie wargi, lekko krzywi nosek i mówi z niechęcią, ukrytą za tarczą sztucznej powagi: „Nie rozumiem, jak można się śmiać — niema z czego". I do tych powinny wołać wszystkie megafony świata: Śmiejcie się! Korzystajcie z okazji! Ludzie prawdziwie mądrzy śmiać się potrafią, nawet z byle czego. Ale jest jeszcze jedna grupa dziewcząt, których niezdolność do śmiechu trzeba trochę inaczej oceniać. Warunki ich życia są czasem naprawdę tragiczne, za wcześnie poczuły jego ciężar i śmiechu prawie nie znają. Wtedy nawet pierwsza młodość załamuje z rozpaczą ręce i rzuca bolesne pytanie: Gdzie jest moja radość życia? — A jednak i im też trzeba powiedzieć ciepło i serdecznie: Śmiejcie się! Wieczny smutek nic wam nie pomoże, a śmiech niejedno złagodzi! Przecież, choć jest źle, ale każdej chwili może być lepiej.

Lecz napewno i te młode dziewczęta, które się śmiać nie chcą, i te, które się wstydzą, i te, które nie umieją, inaczej ustosunkowałyby się do tej sprawy, gdyby dobrze rozumiały, czem jest śmiech. Jakżebym chciała rozjaśnić Wam tę ważną kwestję śmiechu! Pozornie, zdaje się, niby nic, zwłaszcza z anatomicznego punktu widzenia: skurcz mięśnia śmiechowego pod wpływem podniety zewnętrznej. To jest śmiech, ale czy to wszystko? Nie, to tylko to najmniej znacząca jego cząstka. Śmiech cały i żywy — to sztandar szczęścia, to radosny głos powitania, to krzyk choćby chwilowej beztroski i młodości, to zapomnienie o bólu i smutku. Jakże tu jeszcze więcej o tem powiedzieć? Chyba już wszyscy rozumieją, jakim cudownym skarbem ludzkości jest śmiech.

Ale obawiam się, że nie zostały jeszcze rozstrzygnięte wszystkie wątpliwości. Dadzą się one streścić w kilku zasadniczych pytaniach: kiedy, gdzie, jak i z czego — śmiać się należy? O człowieku, który umie to w życiu odpowiednio zastosować, można powiedzieć trochę uroczyście, że posiada kulturę śmiechu.

Kiedy i gdzie — to chyba dosyć jest proste. Nastrój, przepojony jakimś smutkiem lub też z innych względów sztywny, uroczysty, nie harmonizuje ze śmiechem. Śmiech jest wtedy tem, czem fałszywy akord w muzyce. Dlatego też chwile i miejsca, w których rozgrywa się jakaś żywa tragedja, odbywa pompatyczna ceremonja lub które są przeznaczone na modlitwę jakiegokolwiek wyznania — nie mogą rozbrzmiewać śmiechem. To jasne i zrozumiałe: śmiech jest zbyt piękną właściwością człowieka, aby miał ranić uczucia innych ludzi.

Ale jeszcze jedno: czy na lekcjach szkolnych powinno się siedzieć zawsze cichutko, poważnie, robiąc tem konkurencję mumjom egipskim? Wiem, że nikt tak nie siedzi, ale nużby ktoś odczuwał wyrzuty sumienia? Więc wolę wyjaśnić: podczas lekcji śmiać się można, często szczery śmiech jest nawet bardzo pożądany przez nauczyciela, byle po takim wesołym przystanku można jechać dalej, t. j. żeby powrócić do przerwanego wątku. Troszkę trudniejsza sprawa: jak się śmiać? Przedewszystkiem śmiech musi być szczery, niewymuszony. Ale, jeżeli są w nim jakieś brzmienia gardłowe, ostre — nie jest ładny. I wtedy trzeba się postarać, aby to złagodzić, aby opanować owe nieprzyjazne dźwięki, bo przecież nikomu nie może być przyjemnie, gdy śmiech jego budzi niechęć, gdy nazywają go ordynarnym. Jest to tylko wtedy trudne do usunięcia, gdy mamy do czynienia z jakąś wadą organiczną.

A teraz: z czego się śmiać? Tego się właściwie tak odrazu nauczyć nie można, ale zdradzę Wam jedną tajemnicę: to, z czego się człowiek śmieje, mówi nam bardzo wiele o jego kulturze. Są rzeczy i sytuacje, przeznaczone dla śmiechu i inne, które do tego służyć nie powinny, które tworzą krąg, uświęcony sercem człowieka lub jego smakiem estetycznym. Jeżeli staruszka poślizgnęła się na bruku i przewróciła, któż z ludzi kulturalnych śmiać się z tego będzie? A dowcip, który nie jest dowcipem, lecz zwykłem, ordynarnem „powiedzonkiem", lub rysunek w rodzaju tych, jakie zwykle widzimy na pocztówkach primaprilisowych, w kim śmiech wzbudzić mogą? Tylko w ludziach o małej kulturze.

Jest się z czego śmiać! Życie codzienne bywa dla nas w tej dziedzinie często łaskawe, a oprócz tego, służy nam literatura, teatr, kino, sztuki plastyczne. Mamy tylu pisarzy, którzy szczodrą ręką rozrzucają klejnoty humoru między ludźmi, byle się tylko śmiali. Są utwory, podczas czytania których może się nie śmiać tylko człowiek beznadziejnie smutny lub też — mało inteligentny, który nie rozumie prawdziwego dowcipu. Życzę Wam serdecznie, abyście nie należały ani do tych pierwszych, ani do drugich.

To są zasadnicze podstawy owej kultury śmiechu. Ale jeszcze ktoś bardzo zgryźliwy czy smutny, gotów zapytać: czy teraz wogóle wolno się śmiać? Teraz, kiedy panuje kryzys, kiedy czasy są takie ciężkie? Ponieważ mowa tu o czasach, więc pozwolę sobie zacytować w odpowiedzi słowa Marsz. Piłsudskiego. W jednem ze swoich przemówień powiedział: „Żywiołem szczęścia jest śmiech. A im bardziej jest pustym i szczerym, im bardziej nazywamy go dziecinnym, tem więcej jest w nim szczęścia, tem więcej jest w nim nieba na ziemi". Dalej wyraża żal, że „nie witaliśmy Polski odrodzonej dźwięcznym śmiechem odrodzenia, lecz kwasem śledzienników i zgryźliwością, czyni zarzut starszemu pokoleniu, że się śmiać nie umie i kończy życzeniem: „Niech się śmieją polskie dzieci śmiechem odrodzenia".

Więc jakże? Koniecznie trzeba się śmiać!

Marja Krzyżanowska.

LEGENDA O SIEI

W czasach, o których mówi legenda, nie było jeszcze w tej okolicy kanału augustowskiego, który przekopano wśród lasów i jezior, od Niemna do Narwi dopiero na przełomie 18-go i 19-go wieku. Gwarne dziś miasto Suwałki były zaledwie folwarkiem klasztornym, a ogromne nieprzetrzebione lasy porastały cały kraj, pełen dzikiego zwierza, kraj jezior błękitnych, zielonych, czarnych i białawych, rozlanych wśród zarośli i pni pod północnem niebem.

Zaś na półwyspie, nad jeziorem Wigry, panowali możni zakonnicy – Kameduli. Klasztor jak fortecę wybudowali sobie na tym brzegu, osłonionym od zalewów przez tamy, groble, szerokim murem opasali tę fortecę o wysokich wieżach i pięknych kaplicach. Z klasztoru panowali nad leśnemi obszarami puszcz suwalskiej i augustowskiej. Trzebili drzewa, zakładali na ich miejscu tartaki i papiernie dla przetwarzania drewna w pożyteczne materjały. Huty szklane i żelazne, potażarnie, warsztaty i rękodzielnie, pracowały sprawnie na leśnych pustkowiach za ich rozporządzeniem i pod ich władzą.

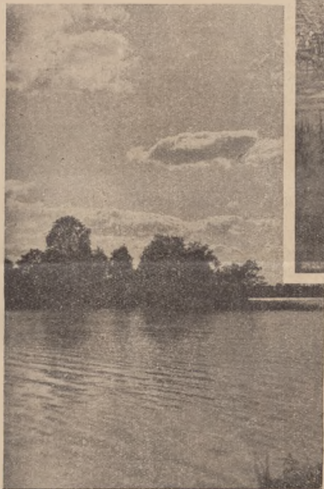
Na wykarczowanych miejscach osadzali rzemieślników, sprowadzonych z dalekich stron, z Litwy i z Mazowsza, wystawili most na rzece Hańczy, krzątali się koło zagospodarowania swej ziemi mądrze i usilnie.

A o sobie nie zapominali także Ojcowie Kameduli z czasów Jana Kazimierza, Batorego i Sasów. Bardzo lubili jeść. Piwnice klasztorne, dobrze obmurowane, żeby ich nie zalała woda jeziora, pełne były smakowitych zapasów jadła i trunku, sady uginały się od soczystych owoców, a więcierze co dnia wyławiały smaczne ryby z przezroczystej, niebieskiej wody jeziora. A że reguła klasztorna zabraniała jeść mięso, więc obchodzono ten zakaz, wysuwając głowę z okienka poza obręb murów klasztoru i tam nazewnątrz smakując wyborowe mięsiwa.

Ale cóż tak bardzo wyborowego mogli jeść w tym północnym kraju cudzoziemcy mnisi? Jedli combry jelenie i dzicze, upolowaną zwierzynę lasów okolicznych, chybkie zające i dzikie ptaki tokujące wiosną naokoło, w gęstwinach, polowali na łosie, które w zimowe noce znaczyły śladem swych kopyt zamarzniętą biel jezior, zbierali leśne jagody i złoty miód, pełne gorzkich i słodkich ponęt.

Były jeszcze i ryby w chłodnych i bardzo czystych wodach tych wszystkich jezior, ryby najprzedniejszych gatunków, wyławiane tak często na stół klasztorny.







Ale temu mnichowi, o którym mówi wigierska legenda, chciało się jeszcze czegoś innego. Musiał być wielkim smakoszem, musiał zajadać najwspanialsze frykasy, w angielskim, czy włoskim klasztorze, z którego przybył. Musiał się nudzić wśród ogromnych sosnowych borów, nad zarośniętemi brzegami jezior leśnych, tutaj gdzie wiosna przychodziła tak późno dzika i blada, a zimą trzaskające białe mrozy zasnuwały skorupą lodu niebieskie i zielone oczy wód. Musiał też niebardzo szczerze służyć Bogu na tej wyspie klasztornej, jeżeli dla głupiej ryby zawarł pakt z djabłem.

Obiecał temu djabłowi, djabłowi chytremu i ubranemu z niemiecka, modą niedalekich Prus wschodnich, że odda mu własną duszę za przyniesienie ryby o przedziwnym i ulubionym smaku, ryby sieji, czyli sygi, którą lubił jadać w swej ojczyźnie. Djabeł chętnie zgodził się na tę zamianę, frunął przez powietrze na poszukiwanie ryby, a łakomy mnich wdrapał się tymczasem na wysoką wieżę klasztorną, by stamtąd wypatrywać jego powrotu.

Była noc, wody jeziora, szeroko i fantastycznie zwisające się wśród brzegów lśniły srebrzyście pod księżycem, lasy czerniały wokoło, w zabudowaniach klasztornych pogasły

już światła i ucichła praca okolicznych tartaków i warsztatów. I wtedy pewnie żarłocznego mnicha ogarnął strach i wtedy pewnie pomyślał po raz pierwszy o Bogu. Zaczął się modlić na wysokiej wieży, zaczął drżeć z lęku i kiedy czarny djabeł z rybą w zębach, czy w pazurach nadleciał przez niebieskie, zimne powietrze nocy, schwycił się kurczowo w popłochu wskazówki zegara. Zegar kościoła na Wigrach pochodził ze słynnej pracowni zegarmistrzowskiej klasztoru i ten zegar, poruszony ręką mnicha, zaczął bić chrapliwie godzinę pierwszą po północy, godzinę, w której ginie władza djabła. Djabeł, spłoszony, zaczepił się pazurem o trzon wieży klasztornej, zachwiał się i, wypuściwszy wpółżywą rybę, roztopił się w smołę. I podczas kiedy wzruszony i zdumiony zakonnik dziękował Bogu za cud, na wieży kościelnej, uratowana, rzucona w jezioro sieja, dosięgnęła wody i w tej czystej, zimnej wodzie jeziornej poczęła żyć i rozmnażać się.

Odtąd też sieje i sielawy, ryby obce tym okolicom, ryby przybyłe tu z dalekich stron zaludniają głębie niektórych jezior suwalskich i augustowskich.

Nad temi jeziorami dawno już niema zakonników. Pustelnie stoją niezamieszkane a mnichów przeniesiono stąd kiedyś na Bielany pod Warszawą.

Kościół zniszczyła ostatnia wojna, w mrocznej jego nawie pogruchotane piękne ołtarze z rzeźbionego drzewa, majoliki i marmurów żałośnie sterczą jak świadectwo dawnych bogactw tego miejsca. Dwie wysokie wieże odbijają się swym wytwornym kształtem w niebieskich wodach Wigier i przypominają legendę, która przetrwała do dziś dnia zarówno, jak liczne sieje w głębinie.

Ale dziś inne budynki wyrosły naprzeciw tych wież klasztornych na drugim brzegu zarosłym tatarakiem i pachnącemi ziołami, do których przychodzi z powiewem pomarszczona woda. To Schronisko Krajoznawcze, przez które od wiosny do jesieni przewijają się gromady wycieczkowiczów z różnych stron Polski, spragnionych widoku jezior i lasów, porastających ich brzegi. To wreszcie i przedewszystkiem mała świątynia zbudowana tu dziś nauce, biały budyneczek stacji hydrobiologicznej, powstałej tu dla badania roślinności i fauny jezior wigierskich. Grupa ludzi, która tu mieszka oddana obserwacji i pracy nad smaczną sieją i sielawą nad większemi i nad całkiem niedostrzegalnemi mieszkańcami wód jeziornych, która je wyławia skomplikowanemi sieciami, wpuszcza do oddzielnych basenów, obserwuje i bada pod mikroskopem, nie robi tego z łakomstwa, dla dobrego ich smaku.

Ci uczeni oddani trudnej pracy nad badaniem życia żyjątek i wodorostów, praw, zwyczajów i konieczności panujących pod gładką taflą wody, uczeni, dbający usilnie o zachowanie gatunku ryb niezwykłych i pięknych, to rzeczywistość jeziora wigierskiego. Rzeczywistość pełna treści i o wiele piękniejsza od tej starej legendy, która kazała mnichowi zawrzeć pakt z djabłem dla zadowolenia własnego żołądka i dziwne ryby sprowadziła do jeziora.

Bóg z legendy wyzwolił wtedy rybę ze szpon djabła i od perspektywy bliskiego zgonu na patelni i dał początek nowemu jej gatunkowi, a dziś patronuje napewno pracom i zamysłom ludzi wiedzy, którzy z siecią planktową i szkłem powiększającem wychodzą jak nowocześni rybacy na brzeg wigierskiego jeziora, nie poto, żeby zabijać i jeść wigierskie sieje.

Hanna Mortkowiczówna.

WIOSENNY WYWIAD Z PENSJONARKĄ

Malorkę zastałam pogrążoną w robocie. Siedziała na tapczanie, stałym zwyczajem podwinąwszy nogi pod siebie, druty migotały w jej rękach, puszysty kłębek włóczki obracał się szybko, zamieniając się za każdym ruchem ręki w jakieś cudo sweterkowe.

— Hallo! — wołam od progu (to „hallo" na przywitanie — to wyraźny wpływ filmów i książek amerykańskich). — Przyszłam prosić cię o wywiad.

Malorka odłożyła robotę, przybrała malowniczą pozę i rzuciła mi zawrotne spojrzenie z pod przymknętych powiek.

— Wywiad? Ależ proszę. Coprawda, dopiero przed chwilą wróciłam z wytwórni i jestem nieco zmęczona — (tu głos nabrał tonów omdlewających) — ale i tak za chwilę oczekuję gościa na herbatę. Ramonek Novarro, pani go zna, prawda? Możemy więc do jego przyjścia pogawędzić. Mam coś opowiedzieć o sobie?

Otóż — urodziłam się w dzikich prerjach Afryki Środkowej, pod gorącem niebem Labradoru. Mój ojciec był ubogim farmerem i z trudem mógł utrzymać swoją liczną rodzinę, miałam bowiem dziesięcioro rodzeństwa, a matka (Malorka westchnęła boleśnie) — matka nie dbała o nas. Cały dzień spędzała na dancingach i w wielkich magazynach, gdzie wydawała sumy na stroje i biżuterję. Co do mnie, to od dzieciństwa marzyłam o karjerze filmowej. Cóż, kiedy rodzice sprzeciwiali się stanowczo — nie chcieli nawet słyszeć o tem, aby ich jedyne dziecko poszło w świat na niepewny los. Miałam całe życie spędzić wśród rodzinnych stron, przędąc spokojnie kądziel i len.

Tymczasem los chciał inaczej.

Gwiazdą filmową zrobił mnie przypadek. Pewnego dnia, gdy przebiegałam pustynię na rączym wielbłądzie, zza krzaków wypadł jakiś mężczyzna i zbliżył się do mnie.

— Czatuję tu na panią od wielu dni — powiedział mi na przywitanie.

Spojrzałam — i poznałam go odrazu. Był to bowiem słynny reżyser filmowy Cecil B. de Mille. W ten sposób...

— Stop! — zawołałam (znowu z amerykańska) — Malorko, winszuję ci. Posiadasz niezbędny dla gwiazdy filmowej dar: bujną wyobraźnię i zdolność dawania interesująco nablagowanych wywiadów. Wróżę ci błyskotliwą karjerę. Ale tymczasem pozwól, że w wywiadzie dzisiejszym ja również odegram pewną rolę. A zatem bądź tak dobra i odpowiadaj na pytania.

Po tym wstępie zakładam rogowe okulary (znów amerykańskie), wyciągam notes reporterski, wykręcam wieczne pióro·

— Imię?

Malorka porzuciła pozę vampa filmowego, usiadła na brzegu tapczanu i odpowiada mi grzecznie, złożywszy „buzię w ciup, rączki w małdżyk".

— Poetyczne: Marja-Laura, z „cudzoziemska" jeszcze piękniej — Marie-Laure, a poprostu i na codzień — Malorka.

— Wiek?

— [illegible]

— [illegible]

— Czyli lata między „dziecięctwem", a „dorosłością".

— Zawód?

Westchnienie głębokie, rozlewne westchnienie i zbolały głos mi odpowiada.

— Kończąca szkołę pensjonarka...

— Co jest powodem tego westchnienia — dopytuję ciekawie. — Czy „kończąca szkołę", czy „pensjonarka"? Przypuszczam, że to pierwsze, bo przecież ty, znana entuzjastka szkoły...

— Moja droga — przerywa mi Malorka — entuzjastka szkoły — owszem. Zawsze strasznie kocham moją szkołę i wiem, że nieraz będę do niej tęsknić. Ale przypomnij sobie —to oczekiwanie na maturę, na ten próg, za którym zaczyna się życie. Czy to nie straszne? Im do tego momentu zostaje mniej miesięcy i tygodni, tem wydłużają się one więcej, wloką się. Teraz jeszcze parę tygodni i — koniec. Codzień rano budzę się, drżąc z niecierpliwości — cały dzień chodzę, jak nieprzytomna i wyczekuję wieczoru, aby sobie powiedzieć — o dzień jestem bliżej. — Czego? Czy ja sama wiem czego? Wydaje mi się, że ta matura, to klucz do wszystkich skarbów życia, że odtąd...

— „Odtąd" — och, Malorko, całe życie składa się z samych takich „odtąd". Najpierw była matura, potem pierwszy egzamin na uniwersytecie, potem ostatni egzamin, potem chwile pierwszych zarobionych pieniędzy. Za każdym razem wydawało mi się, że „odtąd" wszystko będzie inaczej, cudowniej, tymczasem wszystko powstało po dawnemu. To tylko małe przystanki życia, życie wciąż jest to samo — wspaniałe, pełne niespodzianek i ukrytych radości, trzeba tylko umieć żyć, moje dziecko, trzeba umieć...

— Teraz ja krzyknę „stop" — woła Malorka — wiem, potem „moje dziecko", brakuje tylko, abyś powiedziała „za moich czasów". Powiedz mi lepiej...

— Przepraszam — przerywam z godnością, — wydaje się, że to ja miałam zadawać pytania.

Malorka zabrała się z powrotem do porzuconych drutów:

— Cóż to będzie? Sweterek? — pytam.

Malorka rzuca mi złośliwe spojrzenie.

— Jak na inteligentną dziennikarkę pytanie niezbyt wymyślne.

— Przypuszczam, że wnuczka będzie ze sweterka zadowolona — mówię niewinnie.

— Jaka wnuczka? — Malorka się nie orjentuje.

— No oczywiście twoja, bo znając twój system i wytrwałość w pracy, nie przypuszczam, żebyś dla własnej córki zdążyła sweterek wykończyć...

Malorka przeszywa mnie spojrzeniem, a ponieważ boję się, aby za przykładem wzroku nie poszły druty, przerzucam się na temat mniej niebezpieczny i pytam oficjalnie:

— Co pani myśli o sztuce?

— Sztuka... hm... oczywiście... Jak sztuka. Wzniosła... hm... piękna... Również — stosowana.

— Dziękuję. Sąd pani o muzyce?

— Ach! Dan jest taki przystojny! A Fogg ma głos, jak wiolonczela...

— Jaka książka ostatnio zwróciła pani uwagę?

— Filozofja Sztuki Hipolita Taine'a...

Otwieram szeroko oczy z pobożnego zdumienia. No! no!

— ...Zobaczyłam ją wczoraj — kończy Malorka — na wystawie. Jest oprawiona w jasną wytłaczaną skórę. Cudo, mówię ci.

— Aaa! — odetchnęłam z ulgą.

— Jeszcze ostatnie pytanie — jak się pani zapatruje na wiosnę?

Nieświadomie wywołałam burzę. Malorka rzuciła druty na ziemię, zerwała się z tapczanu, chwyciła mnie w swoje objęcia i zaczęła obracać z niewiarygodną szybkością.

— Wiosna? Samo szczęście! Ekstrakt szczęścia! Pierwiosnki i pachnący wiatr! Ciepłe wieczory i gwiaździste noce! Poezja! Wiosna, to dostateczny powód do życia! Wiosna, to...

— Zlituj się!

Wyrwałam się z objęć Malorki i zostawiłam ją w pokoju, wykrzykującą do siebie hymn na cześć wiosny.

Gdy wyszłam już na schody, usłyszałam jej głos.

— Hallo! — wołała, przechyliwszy się przez poręcz — nie zapomnij uściskać i ucałować odemnie „Świat Dziewcząt". Coprawda nie wiem, jak to technicznie wykonasz — roześmiała się — w każdym razie powiedz „mu", że jest jedyną lekturą, na jaką znajduję czas przed maturą. Gdybyś wiedziała... Niestety, nie dowiedziałam się, bo właśnie w tym momencie z hałasem zatrzasnęła się za mną brama. *St. Szurlejówna.*

GWIAZDY MÓWIĄ

Po obu stronach wielkiego lustra, stojącego na przykrytej barwnym kretonem toalecie płoną lampy, rzucające silne światło na szminki, pudry, kremy no i przedewszystkiem na odbijającą w lustrze charakterystyczną i wdzięczną twarz o pełnych humoru i inteligencji oczach i nosie wskazującym wybitnie wesołe i drwiące usposobienie jego posiadaczki.

W garderobie jest bardzo ciepło i zacisznie — zdawałoby się, że atmosfera tako wpływa rozleniwiająco, rozmarzająco i sennie, ale nie... jakieś niewidzialne fluidy podniecenia unoszą się w powietrzu, jakieś niemal elektryzujące poczucie czyjegoś nadnaturalnego skupienia. Być może dzieje się tak dlatego, że za parę chwil „Fanny" już ma wybiec na scenę, wnieść ze sobą gorący podmuch południowego wiatru, nadać jeszcze więcej kolorytu uroczo-barwnym dekoracjom [illegible].

Przypuszczalnie sam Pagnol nie miałby nic do zarzucenia upostaciowanej przez p. Romanównę Fanny. Kretonowa niebieska sukienka z kryzką naokoło szyi, olbrzymi niezgrabny słomkowy kapelusz i czerwone pantofelki na bosych nogach. Twarz, szyja, ręce, nogi opalone na miedziany kolor, a cała postać jest uosobieniem ciepła i słońca. Typowa i zarazem nietypowa dziewczyna z południa. Tamte mają mniej prostoty i bezpośredniości, więcej zato zalotności i pewnej ociężałej kokieterji. Romanówna jest może zamało romańska, bardzo zato słowiańska. Dodaje to zresztą postaci Fanny niebanalnego [illegible] czego wdzięku i pewnego niespodziewanego posmaku nowości.

Fanny skończyła „opalać się" (bardzo kłopotliwe zajęcie, wyniki zato zdumiewające. Mimowoli n[illegible] też warto godzinami leżeć na słońcu, gdy te same rezultaty można osiągnąć w przeciągu kwadransa) i jest wobec tego, jak [illegible] moich usług.

— Zachwycona jestem rolą Fanny. Z początku nie przemawiała ona do mnie — wolę role bardziej wesołe, ale teraz wczułam się i uważam ją za jedną z najmilszych.

— A jakież były te inne najmilsze?

— No, przedewszystkiem sztuki Shawa: „Pigmaljon", „Zbyt prawdziwe, aby było dobre", „Sprawa lady Chaney", pozatem „Cyrano de Bergerac" Rostanda — to były te najmilsze. Jak już powiedziałam wolę role wesołe, ale lubię też popłakać, jak to ma miejsce w „Marjuszu".

— A propos, jak to pani robi, że płacze prawdziwemi łzami?

— Bardzo proste (proste!)... wzruszam się... bardzo głęboko wzruszam się... mój najdroższy odjeżdża.. żegnam go... być może nigdy go nie ujrzę... zapominam, że jestem ot sobie Janeczka Romanówna i korzystam z okazji, żeby wybeczeć się trochę.

— Jakie ma pani obecnie zamiary i plany na przyszłość?

— Zamiary mam narazie bardzo skromne — chcę mianowicie wyruszyć wraz z Aleksandrem Węgierką w tournee objazdowe po Polsce, ale z tem to nic pewnego, bo nie mam sztuki. Dzisiaj, po przyjściu do garderoby, znalazłam na toalecie list nieznanego młodego komedjopisarza wraz z załączoną sztuką. Przeczytał w I. K. C. o moich zamiarach i jak pisze, „ponieważ jest to pani siedemdziesiąta siódma sztuka, a moja siódma, a dziś jest siódmy, wierząc w tę szczęśliwą liczbę przesyłam pani ją do przejrzenia, a nuż poszczęści mi się".









— I cóż ma pani zamiar zrobić z tą sztuką?

— A no przejrzę ją... O ile naturalnie czas mi na to po[illegible].

— Czy pani ma taki zajęty dzień?

— Szalenie, proszę pani, szalenie... Od rana do wieczora próby, mierzenie sukien, lekcje śpiewu, muzyki ,języków. Rzadko kiedy mam czas książkę przeczytać, nie mówiąc już o innych przyjemnościach.

— Jakież są inne przyjemności pani, t. zn. co pani lubi?

— Co lubię? Lubię czytać dobre książki, wiosłować, leżeć na słońcu, tańczyć... lubię chodzić do kina, jeździć samochodem, podróżować.,. lubię dzieci, kwiaty, i psy. Lubię dużo rzeczy, nie sposób wyliczyć.

— A o czem pani marzy?

— O, marzenia mam wybujałe! Marzę o tem, żeby pojechać do Ameryki, strasznie mi się podoba amerykańska kultura i wogóle życie w Ameryce. Zawiozłabym tam jakąś dobrą polską sztukę i urządziłabym objazd po miastach o dużym procencie polskiej ludności. Marzenia moje, jak pani widzi, mają podstawę realną. Pozatem pragnęłabym pojechać do Francji. Byłam tam już raz, ale bardzo krótko. Myślę, że to drugie marzenie uskutecznię latem.

— Czy chciałaby pani grać w filmie?

— Ano grałam już w filmie, w jakim, lepiej nie mówić, bo w „Iwonce", pozatem grałam właśnie podczas pobytu we Francji w filmie Paramountu, który na szczęście nie doszedł do Warszawy. Nakręcono go w przeciągu dziewięciu dni, wyobraża pani sobie co to było! Sama zlękłam się, kiedy zobaczyłam siebie na filmie. Nie, stanowczo wolę grać w teatrze, tutaj przynajmniej odpowiadam sama za siebie, a w kinie wszystko zależy od reżysera i operatora, od światła i nastawienia.

— Jacy są ulubieni pani aktorzy filmowi?

— Marlena Dietrich i Clark Gable. Wolę Marlenę od Grety Garbo, bo ma o wiele bardziej interesującą twarz, mniej prawidłową i nawet trochę wulgarną i może właśnie przez to bardziej pociągającą. Bo dla mnie uroda polega nie na martwej prawidłowości rysów, a właśnie na ich nieregularności, która jedynie nadaje twarzy oryginalność, coś takiego specyficznie interesującego. Np. Marlena ma brzydki nos i brzydkie, wykrzywione usta i wła-

śnie przez to jest tak urocza i interesująca. Bo niech ją pani sobie wyobrazi z jakimś prostym nosem i prawidłowo wyciętemi ustami. Laleczka malowanka...

— Jaki film najwięcej podobał się pani?

— No naturalnie „Niech żyje wolność".

— A z aktorów teatralnych, kogo uważa pani za najlepszego?

— Przybyłko-Potocka, Jaracza, Brydzińskiego. Węgierkę uwielbiałam, gdy jeszcze byłam w gimnazjum. Pamiętam, gdy przyjechał do Krakowa, godzinami stałam pod teatrem oczekując go... tak, jak teraz, gdy grałam w „Bandzie" oczekiwały mnie tłumy uczniaków. Opowiedziałam to Olkowi ku jego uciesze, jak to stałam z drżącem sercem, moknąc na deszczu, żeby móc chociaż przez chwilkę rzucić okiem na niego.

— Jak to się stało, że wstąpiła pani na scenę?

— Wychowywałam się w tem przeświadczeniu, wogóle nie wyobrażałam sobie, że będę robić coś innego. Jest to widocznie dziedzicznem, gdyż ojciec mój był znanym aktorem, brat zaś pracuje w filmie.

— A więc żadnych sprzeciwów wobec tego ze strony rodziny nie było?

— I owszem były... ze strony mojej matki. Ojciec umarł, gdy byłam prawie niemowlęciem, a matka na całe życie zachowała niewytłumaczoną animozję do teatru. Debiut mój odbył się w jej nieobecności. Nie powiem zresztą, by należał do zbyt udanych. Dano mi rolę kostjumową w jednej ze sztuk Brucknera. Ginęłam w krynolinie. Byłam dwa razy szczuplejszą, niż teraz i suknia dosłownie wisiała na mnie. Następnie zato dostałam rolę młodej dziewczynki, zupełnie odpowiednią dla mnie w sztuce „Śnieg" Przybyszewskiego. Byłam zachwycona i oszołomiona, że spotkał mnie taki zaszczyt — Przybyszewski był dla nas wtedy bożyszczem.

— Czy dostaje pani jakieś listy od młodych wielbicielek? Czy przychodzą do pani?

— Owszem, owszem, prawie codziennie. Przyznam się, że trochę nie wiem, o czem z niemi mówić. Zadają nieraz takie dziwne pytania... a jaki kolor pani lubi, a co pani woli, kino, czy teatr, a czy pani wybiera się zamąż...

— Czy podobają się pani dzisiejsze młode dziewczęta?

— Proszę pani, młodość nie może nie podobać się. A pozatem podobają mi się młode dziewczyny przez swój śmiały pogląd na świat. Każda wie, czego chce. Chcą pracować i żyć samodzielnie i wogóle być ludźmi. Dawniej świat ograniczał się zamążpójściem, dziś horyzonty rozszerzyły się, następuje nowy okres świadomego życia kobiety-człowieka. Dawniej mężczyzna wybierał sobie żonę i im była głupsza tem było lepiej, dziś warunki zmieniły się — kobieta musi walczyć o byt narówno z mężczyzną, małżeństwo jest współpracą na każdym kroku, we wszelkich okolicznościach życia. Dzisiejsze dziewczęta zdają sobie z tego sprawę, starają się być samodzielnemi, za to chociażby należy je cenić.

— Czy, gdyby wyszła pani zamąż, rzuciłaby pani scenę?

— Za nic! Nie wyobrażam sobie życia po za sceną. Kocham mój fach do takiego stopnia, że chciałabym umrzeć na scenie. A pozatem... jakaż nieograniczona skala możliwości kryje się w tej możności życia naraz setkami żyć! Co za wdzięczny zawód dla kobiety szczególnie! Przecież kobiety są zawsze, pomimo woli nawet, troszkę komedjantkami! Nie, nie zamieniłabym się z najbogatszą kobietą, bo i ona ma życie biedniejsze od mojego — ona ma jedno, a ja niezliczoną ilość.

W tem w garderobie słychać przejmujący dzwonek, a po chwili zjawia się inspicjent. „Zaczynamy, zaczynamy"...

Twarz p. Romanówny nagle poważnieje, artystka szybko wypija czarną kawę, gorączkowo żegna się, całuje obrazek i po chwili... wesoła, rozwiewająca się sukienka, wielki kapelusz i połyskujące w biegu pięty w czerwonych pantoflach znikają za zakrętem korytarza prowadzącego na scenę, a wraz z niemi znika trochę słońca i ciepła i radości południa

Molly.

ŚWIĘTA ZOFIJA PĄKI WYWIJA

Kto nie lubi, żeby co było po staropolsku, to może sobie powiedzieć: Święta Zofija pąki rozwija. Ale Zofija to już musi zostać. A wcale nie Zofja!

Bo i wilga w lesie nie umie gadać modnie, tylko po staremu:

„Zo-fija! Zo-fija!"

To pięknie, jak wilga woła, że idzie już, już, zaraz... ta Wiosenka - Zósieńka (na kresach mówi się Zosienka, jak wisienka). Patronka, która bardzo młodo została wdową, z trzema córkami: Wiarą, Nadzieją i Miłością.

A wszystkie pomagają matce w mądrem i zbożnem dziele rozwijania pączków jabłoni, i grusz, i śliw, i wisien...

„A wierzysz-że, Wiaro, mocno, że będzie z tych naszych kwiatów owoc?"

„Wierzę!"

„A tyż, Nadziejo, nadzieję stateczną masz, iże po suszy deszcz wróci, a po dżdżystej zaś porze słońce z powrotem rozbłyśnie?"

„Nadzieję, krzepką, mam!"

„A ty, Miłości, kochasz-że sercem żarliwem kwiaty dzisiejsze i plon jutrzejszy? i deszcz, i burzę, i słońce kochasz? — i wszystko, co na świecie odmianą jest i następstwem koniecznem?"

„Kocham".

„To i dobrze, córuchny" — powiada Święta Zofija. Sadem postępuje z córkami. Nucą sobie o poranku:

Dzisiaj Wiosna — jutro Lato —
potem złota Jesień:
kochaj, człeku święte życie,
co ci dar swój niesie.
Minie, Wiosna, Lato, Jesień,
przyjdzie biała Zima;
— ani tobie czas przyspieszyć
ani go zatrzymać — —

„A ty, Czesiek, co tu porabiasz na cmentarzu?"

To prawdziwa pani. Nasza nauczycielka.

Jakby tu powiedzieć prawdę? Czesiek nigdy nie chce kłamać! Gdzieżby! Kłamać pannie Ludwice?!

Ale jak tu się, tak zaraz, wytłumaczyć...

„Masz taką twarz... jak kozioł w kapuście! moje dziecko!! Była babuleńka rodu wysokiego, miała koziołeczka bardzo rozpustnego, wiesz? Ale co ty tu masz do roboty od świtu między grobami? I jeszcze jakieś coś pod pazuchą dusi — dawaj!"

Jakże tu nie oddać, wedle rozkazu, kawałka blachy, jaką pan Zygmunt (właśnie przyjechał z Warszawy) pomalował wczoraj na biało, a potem wywiódł na niej... czarne litery, żeby choć złote!!

„Co to, co to? wiersz?!"

Tu leży skąpiec. Ratuj jego duszę,
Przechodniu! z tej mogiły uszczknij
choć kwiatuszek!

„Czesiek! i cóżeś z tem chciał tu robić — co?".

Winowajca?

„Ah-ha! Już wiem!"...

O, jakie szczęście, że się panna Ludwika sama domyśla.

Tak-to, tak. Jest grób na cmentarzu. Taki sam dobry grób, jak wszystkie inne. Trochę na nim bratków po wierzchu i tłustej kury na obwodzie, i jedna kępa irysu w nogach nieboszczyka. Starannie co roku odlakierowany krzyżyk. Ale to nie wszystko. Wysoko ponad krzyż widnieje na słupku tablica, biało pomalowana. Po niej dużo czarnych liter układa się w długie i niezkładne wierszyki. Takie brzydkie, takie chropawe, jakby kto sankami po grudzie jechał. Aż niemiło czytać. Nie czytajmy więc!

Dość, że ten ktoś, co te wiersze pisał, chciał powiedzieć:

Nielitościwi przechodnie! dlaczego prześladujecie mnie nawet w grobie?! Nie możecie znieść, że i tu mam porządek? Zrywacie mi moje bratki — to źle, to źle! Pan Bóg was ukarze, zobaczycie! I t. d.

Biedny nieboszczyk. Ale to zresztą nie on broni się tak energicznie częstochowskim rymem. To broni go — tak samo, jak go za życia wytrwale broniła — broni go siostra, staruszka panna Zofja, albo, kto woli, Zofija. Wołają za nią niedobre dzieci: „Czupiradło - skąpiradło! wlazło na piec, z pieca spadło!"

Ale to nic nie pomaga. Panna Zofja była całe życie bardzo skąpa. Dawała tylko drobniuśkie miedziaki w kościele, na tacę. A na żadną kwestę nic, nic! Żebrakom powiadała bardzo donośnym głosem:

„Niech Pan Bóg opatrzy!"

Ależ Pan Bóg ręki z za obłoków nie wysunie i nie poda ślepemu talerza z krupnikiem. Trzebaż, aby mu co podał ręką człowiek! To chyba każdy rozumie.

Panna Zofja miała postać tak brzydką, że trudno było nie nazywać ją czupiradłem. Bo strach-to był na wróble: garbaty, nosaty, dziobaty.

Aż trudno uwierzyć, że i w strachu tkwi coś nakształt serca. Serce jakieś dzikie dla całego świata, i czułe dla jedynej istoty ludzkiej. Dla brata. Chorował jej dziesiątki lat. Aż go i pochowała. Teraz nie ma o kogo dbać. Więc dba o grób.

„Czesiek, to pan Zygmunt dał ci tę blaszkę, co?"

„Tak"...

„Miałeś ją tu przybić, na tablicy, pannie Zofji na imieniny, co?".

„Tak"...

Oblał się Czesiek ponsem, jakby to naprawdę było co złego, figielek pana Zygmunta.

„Wiesz ty co, Czesiek. Pan Zygmunt jest sobie żartowniś. I lepsze pisuje wiersze, niż panna Zofja. To prawda. Ale ty sobie pomyśl, czy to dobrze, jak dzieciaki bobrują wciąż po grobach i psują kwiaty na cmentarzu?"

„O! nasze dzieci nic nie psują!"

„No tak — może! Daj Boże. — Może doświadczyły na własnej skórze, jakto miło, jak nam kto robotę psuje... kiedy im nasze drzewka lada kto, idąc, pustoszył. — I niema wreszcie nic — nikomu"...

Cześ obraca w ręku blachę... Bo co prawda to prawda, że mu się dowcip tego pana Zygmunta bardzo spodobał, bo nie cierpi, nie cierpi gadania panny Zofji, co ma być niby do wiersza, a jest takie, jakby kto szedł, a co chwila potykał się, kusztykał, wikłał krok w szuwarze... zapadał w glinę. Po co to takie bzdury wypisywać?!

„Wiesz co, Cześ... Ja widzę, że ty koniecznie chcesz pannie Zofji splatać figla na wiązanie. Powiadam ci: leć do szkoły po słoik... znajdziesz spory pusty słoik w kuchni na drugiej półce pod oknem, rozumiesz? I weź nożyce ogrodowe. Natniesz siedem gałązek z mego bzu, uważasz, z tureckiego pięć i z białego dwie! I tu przyniesiesz. Ale duchem!"

„Duchem!" — uraduje się Cześ. Oczy błysną przeczuciem czegoś najlepszego, co zawsze wymyśli nasza prawdziwa pani. Już go niema.

Duchem pojawili się. Bez i Cześ.

„I gdzie z tem?" — promienieje Cześ.

„Jakto gdzie?! Jeszcze nie wiesz? — O, tu, pięknie ustaw pod krzyżykiem. Przyjdzie zaraz panna Zofja po prymarji — i bardzo się zadziwi. Schowaj się tu za kadź, będziesz widział sam".

Wsunęła się niebawem przez furtkę boczną, wiecznym truchcikiem panna Zofia. Solenizantka. W mantylce czarnej, zburzałej, z przed czterdziestu lat. W kapotce wiązanej pod brodę. Z piórem strusiem. Z dżetową, świecącą szlarką. W czarnych mitenkach.

Podchodzi do grobu... i rozgląda się jeszcze raz. Ku bzom pochyla się, co tryskają z za mogiły, po darni układają krańce wonnego wachlarza. Ta mogiłka — czy nie ta?

Ależ ta! Oczywiście...

I nikt Mu niczego nie wziął? Nie nadarzył się — choć po śmierci — żaden bezlitosny przechodzień?! Jeszcze Mu coś — ktoś — dołożył?

Albo... albo to, może, On sam... Wszak to dziś jej dzień... Jej patronki.

Co tam sobie kombinuje panna Zofja pod niskiem, wąskiem, zwiędłem, zoranem czółkiem, na które wyrywają się z pod kapotki zburzałe kosmyki włosów?

To widzi Cześ ze schowka — że popłakała się panna Zofja. Że wącha bzy. Podnosi nabożnie słoik. I znów postawi. Łzy ciurkiem lecą z bladych szklanych oczu. Skąpiradło. Duży garbaty nos bardzo poczerwieniał. Czupiradło. Straszna panna Zofja, która nic nie da żebrakowi, ani kwestarce. A dzieci precz goni od opłotków swego domku, bo głosu dziecięcego nie znosi.

Tak-to, mój Cześku, przyznaj, że najlepszy żart wymyśliła ze skąpiradła ta nasza prawdziwa pani!

A po obiedzie była dnia tego śliczna burza. Śmigały po niebie różane majowe błyskawice. Hu - ha! pokrzykiwały gromy i chór cały głosów dzwonił z nieba:

Kochaj, człeku, święte życie,
co ci dar swój niesie...

To przynajmniej Cześ słyszał w pluskach deszczu, bo nakładł mu w uszy różnych swoich wierszy pan Zygmunt.

Po burzy był śliczny zachód słońca. Cześ zakradł się ku opłotkom panny Zofji. Coś go ku nim ciągnęło, jakby woń bzów.

Okienko jedno zobaczył otwarte. I zobaczył tam, gdzie kładły się na ścianie purpurowe plamy zachodu — zobaczył swoje bzy na stoliku. Na ścianie tej wisiała staroświecka fotografja... a może to się inaczej nazywa taki obrazek w owalnych ramach, pod wypukłem szklem? (Trzeba spytać panny Ludwiki!).

Na obrazku siedziała pani w roztoczystej sukni, poczesana w długie loki. Na kolanach miała milutkiego chłopczyka w koronkowym kołnierzu. Obok stała dziewczynka, nieco starsza, w szerokiej ciemnej sukience, z pod której opadały prawie po cholewki białe ozdobne majteczki z koronką, czy falbanką. To widać taka była moda, czy co? Różne są mody.

Cześ nie mógł poznać, ktoby to była ta pani i tych dwoje dziatek. Ale coś mu się nagle zwidziało, że to — być może, być może! — panna Zofja i jej brat nieboszczyk. A to ich matka. Choć zmieniają się mody.

Panna Zofja podeszła znienacka do okna i krzyknęła ostro ku zagapionemu chłopcu:

„A ty tu czego?! Pójdziesz mi stąd zaraz?!"

Ale Cześ nie drgnął.

Patrzył na Czupiradło bardzo poważnie z wyżyn parkanu — Nie bał się.

„Strzyga ty jesteś, czy chłopak?! — Czemu nie gadasz, co?!"

„Owszem"... — ozwał się wtem Cześ. Odetchnął.

„Ja pannę Zofję pytam.. czy to panna Zofja stoi w takich majteczkach, na tym obrazku?" Palec wycelował prościutko w okno, ku ścianie.

Pannę Zofję — dziecko — pytał!! Świdrującym chłopięcym dyszkantem.

Panna Zofja... ulękła się czegoś. Zamamrotała spiesznie:

„Owszem, owszem... panna Zofja, panna Zofja... Zosienka" — i prędko zatrzasnęła okno, aż zadzwoniły szybki. Plamy słoneczne zgasły.

Zmierzchem przechadzała się po cmentarzu Święta Zofija z trzema córkami biorąc je, obyczajem swoim, na wypytki:

„A ty, Miłości, kochasz-że sercem całem zmierzch dzisiejszy — i świt jutrzejszy? I noc, i sen, i miesiąc nad cmentarzem kochasz? I wszystko, co na świecie, żywe i umarłe — i znowu żywe — kochasz?"

„Kocham".

A skąpa staruszka miała od Cześka odtąd zawsze hojną kwiatową niespodziankę na imieniny.

Cieszyła się nią cztery wiosny. Piątej zimy umarła, więc nie dożyła tej wiosny, kiedy Cześka zabrakło już we wsi, bo macocha zadbała, by uczył się w gimnazjum, w mieście. *Zofja Reutt-Witkowska.*

IO DNI W ŚWIECIE

MIASTO PRZYSZŁOŚCI.

Znany pisarz angielski H. G. Wells zamieścił w swojej książce p. t. „Prace, Dobrobyt i Szczęście Ludzkości" opis „miasta przyszłości": „W bliskiej przyszłości kierowcy pojazdów mechanicznych będą używać swoich reflektorów tylko w bocznych ulicach. Główne arterje komunikacyjne będą oświetlone zapomocą białych samoświecących pasów. Zamiast reflektorów, ulice będą równomiernie oświetlone. Ażeby móc zobaczyć gwiaździste niebo i światło księżyca, trzeba się będzie udać daleko w pole, zdaleka od wszelkich sztucznych świateł miasta".



KAPELUSZ-PARASOL.

W Paryżu pojawił się sprytny kapelusz. Urządzony on jest w ten sposób, że na wypadek deszczu, za naciśnięciem specjalnego guziczka, znajdującego się w denku kapelusza, rondo jego powiększa się o 25 cm. i kapelusz-parasol jest gotów do użytku.

PODKOWA, JAKO MASKOTA.

Przesąd o podkowie, jako przedmiocie, przynoszącym szczęście, ma swoje uzasadnienie w dawnych obyczajach.

Początkowo podkuwano kopyta koni nie dla bezpieczeństwa, ale dla ozdoby, dlatego też podkowy były robione ze srebra, a nawet ze złota. Zwyczaj ten przyjął się zwłaszcza w Rzymie cesarskim.

Podkowy dość często spadały. Znalazca zaś złotej, lub srebrnej podkowy mógł się słusznie uważać za szczęśliwca.

Jak widzimy więc, legenda o „szczęśliwej podkowie" ma swoją realną podstawę.

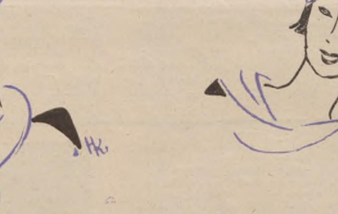


Amerykanki rozpoczęły sezon golfowy.

KAPELUSZE letnie własnej roboty







Moda wiosenna i letnia, przynosi nam jak co roku modele dużych kapeluszy, o miękko nachylonych rondach. Są to przeważnie prześliczne kapelusze, bardzo, bardzo twarzowe i bardzo „dziewczęce", cóż, kiedy kosztują przeważnie dość dużo (duże fasony robi się zwykle z lepszych gatunków słomki) a okres ich noszenia jest dla was w mieście bardzo krótki. Zaczyna się je nosić w okresie który dla was już jest okresem przedegzaminowej gorączki — kiedy poprostu niema czasu go nosić — a potem — potem wyjeżdża się na wakacje.

Rzecz naturalna, że na wakacjach każdy chce wyglądać równie elegancko jak w mieście, (ba, czasem nawet bardziej), ale moda na letnisku, czy też w uzdrowiskach, różni się od mody miejskiej — jest bardziej tolerancyjna i... ekscentryczna. Są to właściwości wybitnie sprzyjające waszym kieszeniom, dzięki nim możecie sobie same zrobić letnie kapelusze o modnych fasonach, które będą was mniej kosztować, niż najtańsze „hawajskie", a będziecie miały możność swobodnego wyboru barw i fasonu odpowiedniego do sukienki. Kapelusze takie robić możecie z trzech materjałów: z wiórek, celofanu i... bibułki!

Najstrojniejszy, ale zarazem najdroższy, będzie kapelusz z celofanu. Potrzeba go na taki kapelusz 5 do 6 arkuszy, które kosztują po 80 gr.

Tańszy już będzie kapelusz z wiórek — wyjdzie ich ćwierć kilo, co kosztuje 2 zł. — dostać można, także we wszystkich kolorach.

Najtańszym bezwzględnie będzie kapelusz z gniecionej bibułki, której potrzeba 2 do 3 rolek po 25 — 30 gr. i którą naturalnie dostać można wszędzie, w wielkim wyborze. Robi się je wszystkie, bez względu na materjał jednakowo. Najpierw (jeśli jest to celofan albo bibułka) kraje się długie paski szerokości jednego centymetra — wiórki mają mniej-więcej tę szerokość. Przygotowane w ten sposób paski plecie się po sześć, w zupełnie zwyczajny sposób, tak, jak plecie się maty (rys. 1). Kiedy wplecie się już dostateczną ilość słomki — zaczyna się szycie kapelusza. Szyje się ją płasko „w ślimaczka" jak to widzimy na rys. 2, robiąc małe fałdki, ażeby wyszedł zupełnie płaski spodeczek. Kiedy spodeczek ten, ma już wielkość denka kapelusza, musimy zdecydować fason główki — czy będzie ona miała okrągły kształt głowy, czy też fason „canotier" — w pierwszym wypadku zaczynamy powoli naddawać coraz mniej, i w końcu szyjemy zupełnie płasko, bez naddawania, bez fałdek, póki nie osiągniemy pożądanej wysokości główki — w wypadku „canotier", odrazu przestajemy marszczyć, przez co uzyskujemy odrazu fason główki, z wyraźnym kantem. Rondo znowu marszczymy i szyjemy do szerokości pożądanej. Ładnie jest, jeżli rondo jest asymetryczne — z jednej strony trochę szersze, uzyskujemy to w ten sposób, że z jednej strony szyjąc, nakładamy słomkę bardzo głęboko jedną na drugą przez co rondo się zwęża. Kapelusz jest skończony.

Należy teraz zastanowić się nad fasonem. Podajemy wam trzy modele modne i twarzowe. Pierwszy, to duży kapelusz, o główce „canotier" — jest to fason trochę „angielski", odpowiedni do sportowej sukienki — najlepiej wygląda w kolorach żywych, zdecydowanych — ponsowy, żółty. Dobrze również wygląda, jeśli pleciony jest w kratę — np. ponsowy z białym, lub granatowy z białym. Na kancie główki, jako przybranie kokardka w dwu kolorach.

Drugi kapelusz, jest bardziej fantazyjny. Jest to kapelusz o główce niskiej, ale okrągłej o rondzie dużem, z jednej strony szerszem. Brzeg ronda jest wykoń-

czony paskiem słomki, plecionej „a jour“ z pasków węższych o połowę. Rondo z jednej strony jest podniesione i przypięte do główki, aby nie opadało.

W tem miejscu przypięty jest płaski kwiatek, zrobiony z tego samego materjału co kapelusz. Jest to model lekki i elegancki — odpowiedni do lekkich sukienek. Trzeci — to czapeczka „amerykańska“. Uszyć ją, jest stosunkowo najłatwiej, szyje się poprostu długi woreczek, rozszerzający się ku dołowi. i dopiero potem odwija się rondko. Najładniej wygląda pleciona w kratę na cztery białe, jeden pasek czerwony, jeden niebieski, lub zielony i żółty. Na czubku główki dwa sztywne ogonki.

Na czapeczkę tę wychodzi o jedną trzecią mniej materjału niż na kapelusz— jest więc nieco tańsza. A więc teraz, kiedy już wszystko wiecie, wystarczy wybrać fason, i... do roboty. I naturalnie, jak zawsze — piszcie, jeśli macie jakie kłopoty.

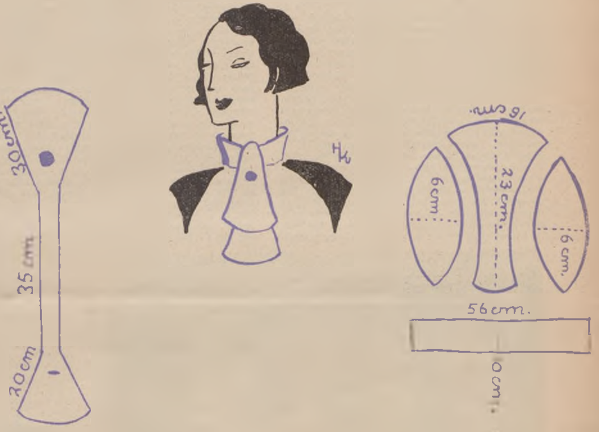
* * *

Podajemy wam dzisiaj jeszcze model modnej małej czapeczki — odpowiedniej na wiosenne niepogody. Na rysunku pierwszym widzicie, jak czapeczka ta wygląda z trzech stron — na rysunku drugim macie podany jej krój i wymiary. Zrobić ją możecie albo szydełkiem, półsłupkami, robiąc w podanych wymiarach każdą część oddzielnie i potem zszywając, albo z kawałków materjału, z którego jest zrobiony wasz płaszczyk wiosenny, albo wreszcie z którejś z tych ładnych, lekkich wełenek, których tyle przyniosła nam wiosna. Specjalnie dobrze, wyglądałaby wełenka w modne, jaskrawe pasy.

Na rysunku macie wykrój. Wymiary są podane przeciętne. Dla pewności zmierzcie obwód swej głowy i sprawdźcie, czy czapeczka nie będzie zamała, lub zaduża... Naturalnie, krająć, zostawcie po 2 cm. z boków na zeszycie. Rys. A, A' i B są częściami denka czapeczki — rys. C. to pasek, w który je się wszywa.

Kiedy zeszyjecie wszystkie części, włóżcie czapeczkę na głowę i dopasujcie pasek, robiąc na nim trzy proste zaszycia, które widzicie na rys. 1. Potem udrapujcie czapeczkę, ściągając ją na jedno oko i przypinając do paska, małą, płaską kokardką. Wewnątrz trzeba koniecznie wszyć woreczek, żeby się lepiej





układała. Do czapeczki tej ładnie i strojnie wygląda szalik, zrobiony, o ile to jest możliwe z tego samego materjału. Jak wygląda, widzicie na rys. 3 — na rys. 4 macie podany wykrój i wymiary.

Możecie go także robić półsłupkami szydełkiem, jeśli czapeczka będzie trykotowa. Szalik ten, przewiązuje się z przodu i zapia na duży guzik, przyszyty na dłuższej klapce.

Łatwe, prawda? a więc do roboty!

H. Kruger.

KĄCIK HARCERSKI

Harcerskie drużyny żeglarskie, których mamy coraz więcej, zabierają się dzielnie do pracy.

Nasi harcerze-żeglarze postanowili stworzyć w najbliższym czasie wzdłuż Wisły i innych większych rzek polskich punkty postoju dla kajaków. W punktach tych kajakowcy będą mogli znaleźć nocleg i przechować kajaki.

W lecie 1933 r. harcerska sztafeta kajakowa popłynie z Katowic do Gdyni. Wystarczy spojrzeć na mapę Polski, żeby się przekonać, że nie taka to łatwa i prosta droga. A wybrano ją właśnie dlatego, żeby zwrócić uwagę całej Polski na potrzebę wybudowania kanału, umożliwiającego komunikację wodną między Śląskiem a morzem. Sztafeta odda w Gdyni pałeczkę z węgla śląskiego na znak, że węgiel ten może być w przyszłości przewożny drogą wodną do naszego portu.

W ciągu bieżącego roku zbierane też będą fundusze na harcerski jacht szkolny, na którym nasi dzielni harcerze odbywać będą dalekie podróże, szkoląc się na zahartowanych w walce z morzem żeglarzy.

Szczęśliwy pomysł. Harcerki i harcerze w Krakowie postanowili „własnym przemysłem“ wybudować przystań na Wiśle. Nie mają oczywiście na to pieniędzy, ale od tego są harcerzami, aby zawsze umieć sobie poradzić.

Plan kampanji jest następujący: każda z 27 drużyn krakowskich zobowiązała się zabrać ze sobą pozostały po zlikwidowaniu letniego obozu budulec. Naturalnie wobec tego powracać będą drużyny wagonami towarowemi. Z przywiezionego materjału druhny i druhowie wybudują przystań własnoręcznie.

Nasz pierwszy własny statek. Harcerstwo Polskie otrzymało od Marynarki Wojennej wspaniały dar. Jest nim wysłużony statek „Rybitwa“, który odbył już niejedną podróż i niejedną burzę pamięta. Obecnie Rybitwa wypoczywać będzie po trudach zakotwiczona w Gdyńskiej zatoce. Będzie się tam mieściła w lecie szkoła, wychowująca harcerzy na „starych wilków morskich“. Na Rybitwie będą też znajdowały pomieszczenie liczne wycieczki harcerskie, pragnące poznać dumę naszą — Gdynię i zobaczyć morze. Na dar ten zasłużyli sobie harcerze i harcerki, wykazując, że chcą i mogą być marynarzami. W czasie tegorocznych wakacji kilkudziesięciu druhów i kilkanaście druhen odbyło kurs żeglarski, uzyskując stopnie: kapitana, sternika i t. p.

Pozatem na statkach „Temida“ i „Mohort“ zwiedzili oni dalekie brzegi Szwecji i Danji, a na jachtach całą zatokę Gdyńską.

M. Kannówna.

SPORT

NAUKA GRY W TENNISA.

Tennis jest bezwzględnie sportem najwyższej klasy. Predestynują go do tego — jego walory estetyczne i ogólnokształcące zarówno pod względem fizycznym, jak psychicznym. Gra w tennisa wymaga sprawności wszystkich mięśni ciała, koncentracji władz duchowych oraz intensywnej kontroli mózgu. To też wrodzone każdemu cechy indywidualne oraz suma pracy włożonej w ich wyrobienie decydują o wynikach gry i kwalifikują do odpowiedniej klasy graczy.

Jest to sport trudny i wymaga dużych wysiłków, dlatego też należy liczyć się ze swą kondycją fizyczną, aby nie zaszkodzić zdrowiu, przekraczając możliwości organizmu. Kobiety szczególnie pamiętać powinny o tem, że nadmierny wysiłek fizyczny szkodzi piękności, a tennis uprawiany intensywnie silnie wyrabia mięśnie nóg i prawej ręki. Często spotykanym błędem u początkujących jest chęć osiągnięcia rezultatów w jaknajkrótszym czasie; wygórowaną ambicję przypłacają oni wyczerpaniem sił, zwłaszcza serca, oraz sforsowaniem mięśni i ścięgien, co na dłuższy czas pozostaje przeszkodą do podniesienia klasy gry, o ile nie pozostawi poważniejszych skutków na zdrowiu. Trzeba też pamiętać o tem, że technika uderzeń jest podstawą gry i wymaga szalonej precyzji, gdyż dopiero całkowite jej opanowanie pozwala graczowi swobodnie skoncentrować się na taktyce, od której zależy szala zwycięstwa. Gracz początkujący musi zatem zwracać pilną uwagę na każdy swój ruch i wykonywać go odrazu prawidłowo, gdyż raz nabytej maniery pozbyć się jest niesłychanie trudno. Jednakże przy dużem zmęczeniu, jakie wywołuje u początkujących forsowny i nieracjonalnie przedłużający się trening, prawidłowość uderzenia zaczyna mocno szwankować, co jest szczególnie niebezpieczne, o ile gracz ma ambicję osiągnięcia wysokiej klasy. Zasadniczo najlepiej jest grać odrazu z trenerem lub przynajmniej z partnerem już dobrze zaawansowanym (niestety tacy rzadko kiedy poświęcają się, aby grać z „patałachem"), a w każdym razie zaczynać należy odrazu prawidłowo. Głównym celem niniejszego artykułu jest właśnie dostarczyć zasadniczych wskazówek prawidłowej gry w tennisa.

Zacznijmy od sprzętu: więc przedewszystkiem rakieta. Powinna być możliwie w najlepszym gatunku, błędem natomiast jest kupowanie „na początek" rakiety gorszej czyli tańszej. Piłki bezwzględnie muszą być w najwyższym gatunku, aby miały prawidłowy odskok, nie strzępiły się i były odpowiednio trwałe.

Zasadniczą rolę odgrywa w rakiecie waga: dla kobiet istnieją dwie wagi: 12 i pół oraz 13, stosownie do siły ręki, nigdy jednak cięższa. Co do grubości rączki, to należy dobrać rakietę tak, aby objąwszy ją przy końcu dotykać lekko dużym palcem wskazującego. Po grze należy bezwzględnie kłaść rakietę w prasę, oraz smarować struny odpowiednim lakierem, a na wilgoć specjalną oliwą, które dostać można w sklepach sportowych. W razie niestosowania tych przepisów, najlepsza nawet rakieta ulegnie spaczeniu, a struny prędko popękają.

Co do stroju, to przyjęty jest strój biały, zarówno ze względów estetycznych (tennis nosi nazwę białego sportu), jak i praktycznych, gdyż biały kolor odbija najłatwiej promienie świetlne, co jest ważne ze względu na to, że gra odbywa się przeważnie w pełnem słońcu. Fason nie gra dużej roli, musi być jednak taki, aby zapewniał całkowitą swobodę ruchów. Dobrze jest mieć ze sobą żakiecik lub płaszcz z lekkiej wełny, gdyż po silnem zgrzaniu łatwo jest się przeziębić. Do ocierania spoconej twarzy i rąk potrzebny jest miękki, gruby ręcznik. Jeśli komu rakieta bardzo się ślizga w ręku, można końiec jej dać obić cienką skórką. Obuwie musi być lekkie, bez obcasów, na gumowej podeszwie, skarpetki wełniane, wywinięte na pantofel.

Naogół tennis jest niestety sportem kosztownym, należy jednak pamiętać, że cena sprzętu jest najczęściej wprost proporcjonalna do jego jakości, a im wyższy jest gatunek, tem łatwiej grać i tem większa gwarancja trwałości.

Przechodząc teraz do techniki uderzenia, należy ustalić kwestję trzymania rakiety. Podstawowy jest chwyt rakiety, odpowiedni zarówno do uderzenia z prawej strony (t. zw. forehand), jak i z lewej (backhand). Rakieta tworzy kąt prosty z linją przedramienia. Istnieje jeszcze inny sposób trzymania: ręka stanowi prawie linję prostą z rączką rakiety. Chwyt ten służy tylko do forehandu, przy serwisie. (Service: podanie). Przy backhandzie rakietę trzeba przekręcić tak, ażeby duży palec leżał całkowicie na szerszej części rączki. Sposób trzymania rakiety jest zależny od wyczucia i przyzwyczajenia gracza. Naukę gry w tennisa należy rozpocząć od odbijania piłek słabych i krótkich, stopniowo dopiero przechodzić do mocnych i długich.

Podstawą prawidłowej gry jest odpowiednie ustawianie się do odbicia piłek oraz zamach rakietą przed uderzeniem.

Gracz musi zapamiętać, że żadnego uderzenia piłki nie wykonywa się stojąc przodem do siatki; powtóre, piłkę odbija się nietylko ruchem ręki, ale jednoczesną współpracą całego ciała. Zamach tylko z przegubu lub z łokcia męczy rękę i nie bywa nigdy dostatecznie silny.

Forehand: (uderzenie z kozła z prawej strony): należy stanąć lewem ramieniem do siatki, wysunąwszy lewą nogę w jej kierunku i patrząc na lecącą piłkę do ostatniej chwili, wziąć powoli rozmach rakietą, zatoczywszy nią łuk i prowadzić do uderzenia już znowu ku górze. Po zetknięciu z piłką trzeba rakietę trochę przeciągnąć na dół w kierunku lewego ramienia, dla większej pewności i szybkości piłki.

Zamach jest powolny, ale uderzenie musi być szybsze i wykonane całem ciałem z pełnego ramienia, przyczem naprężony powinien być tylko przegub ręki. Piłkę uderza się nieco przed sobą, dla tego też rozmach trzeba brać i ustawić się do piłki jaknajwcześniej. Piłka musi trafić w środek rakiety, co osiąga się przez skoncentrowanie na niej wzroku, oraz wystudjowanie dokładne zamachu bez piłki, np. w lustrze. Bardzo pożyteczne przy nauce jest trenowanie przez uderzanie piłek o mur lub ścianę, gdyż piłka odbija się równomiernie i łatwo można obliczyć uderzenie. Przy uderzeniu, rakiety nie opuszcza się wdół poniżej poziomu, na którym znajduje się przegub, raczej przy niskiej piłce należy ugiąć kolana.

Backhand (uderzenie z kozła z lewej strony): należy doprowadzić to uderzenie, choć jest ono trudniejsze od forehandu, do tej samej perfekcji, co poprzednie, gdyż słaby backhand jest ogromną przeszkodą w grze i daje przeciwnikowi poważny atut do zwycięstwa.

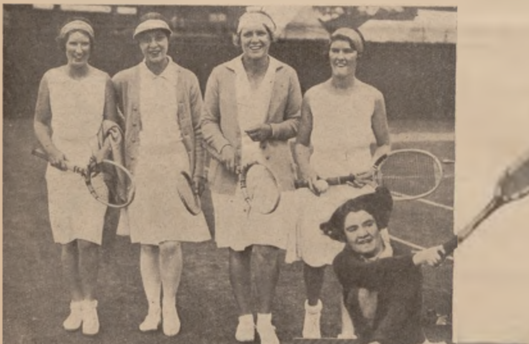
Jeśli ktoś trzyma rakietę sposobem I, to chwyt pozostaje ten sam, jeśli trzyma sposobem II, musi chwyt zmienić do backhandu: t. zn. przekręca w ręku rakietę o ćwierć obrotu, jak to było objaśnione wyżej.

Następnie ustawia się prawem ramieniem do siatki, bierze w czasie lotu piłki pełny zamach rakietą, jak poprzednio do tyłu w górę łokiem aż do samego biodra i uderza piłkę z wyciągniętego ramienia, znowu oczywiście przy współpracy całego ciała.

Należy zwrócić uwagę na to, że uderzając piłkę przenosimy ciężar ciała na nogę wysuniętą w kierunku siatki; w ten sposób bije się całym ciężarem korpusu i osiąga piłkę szybką a zarazem silną, co właśnie jest celem uderzenia.

Naukę backandu najlepiej zaczynać wystudjowawszy dobrze forehand.

(C. d. n.)



BĄDŹ ZDROWA I ŁADNA

Zmęczenie w pracy umysłowej.

Każda wykonywana przez nas praca przebiega w ten sposób, że na początku idzie nam „niesporo", potem wydajność pracy narasta, dochodzi do pewnego punktu szczytowego i potem spada.

Krzywą taką otrzymamy, badając pracę zarówno fizyczną, jak i umysłową. Okresowość w przejawach życia, w pracy poszczególnych narządów, stanowi ich rytm. Każdy z nas ma swój rytm. Przez to pojęcie rozumiemy naszą zdolność do pracy i potrzebę wypoczynku, które u każdego człowieka mają inną okresowość, ale zawsze okresowość.

Ponieważ w życiu szkolnem zmęczenie jest przeważnie na tle wysiłków umysłowych, przeto podam dane z tego zakresu.

Gdy zasiadamy do pracy umysłowej o wydajności będą decydowały takie momenty, jak: czy jesteśmy wypoczęci, czy mamy dostateczny trening umysłowy, przyzwyczajenie, silną wolę, werwę. Co do stanu wypoczynku: jest on zasadniczym warunkiem dobrej pracy. Gdy jesteśmy znużeni musi być przerwa, aby powrócić do normy. Jeżeli jesteśmy wyczerpani trudno jest nawet po odpoczynku powrócić do normy. Przemęczenie, pociągające za sobą takie objawy, jak bezsenność, utratę apetytu, zaburzenia w rytmie serca, jest stanem, w którym praca jest prawie niemożliwa. Przeforsowanie się, czyli całkowita utrata sił, jest stanem ciężkim. Prowadzić ono może do zaburzenia świadomości (człowiek jest nieprzytomny), utraty sił, a nawet gdy przeforsowanie nastąpi pod wpływem znacznego wysiłku fizycznego —do śmierci. Znamy wszyscy historję o biegaczu greckim, który śpiesząc, aby donieść szczęśliwą wieść o zwycięstwie pod Maratonem dobiegł do celu, krzyknął: „Zwycięstwo!" i upadł martwy. Podobne objawy przeforsowania można obserwować wśród ptactwa, które podczas jesieni odlatuje do cieplych krajów. Z lecących gromad odrywają się śmiertelnie znużone ptaki i spadając na ziemię, zabijają się, uderzając o twarde przedmioty.

Przy pracy umysłowej ostatni stopień zmęczenia nie zdarza się. Często występujące uczucie zmęczenia jest spowodowane niedostatecznym przyzwyczajeniem się do pracy i brakiem treningu. Trening umysłowy jest oparty na tych samych zasadach, co trening sportowy. Stopniowanie wysiłku zaprawia do podejmowania coraz większej pracy i dobrego jej wykonywania.

Poza treningiem i wznowieniem woli pojawia się trzeci dodatni czynnik — przyzwyczajenie. Praca umysłowa wśród młodzieży szkolnej jest przeprowadzana z zaniedbaniem zasad higjeny. Naogół biorąc nie staramy się przystosować do naszych indywidualnych właściwości oraz do pewnych koniecznych metod pracy umysłowej. Stąd złe rozłożenie zajęć, a więc zadługie przerwy i wskutek tego utrata treningu, potem gwałtowne wysiłki przed t. zw. okresami i końcem roku. Wysiłki te odbijają się ogólnie na stanie zdrowia, bowiem umysł niewytrenowany i nieprzyzwyczajony zużywa bez porównania więcej energji na wykonanie pracy określonej, aniżeli umysłowość z treningiem. Skutki nie dają na siebie długo czekać. Gwałtowne podniecenie psychiczne, potem stany zmęczenia, wyczerpania, na które sporo trzeba zużyć czasu, aby jakoś naprawić, powrócić do normy. Stąd konieczny długi okres wypoczynku, utrata treningu i t. d.

Znamy wszyscy to zjawisko, że najlepiej pracuje się w środku roku szkolnego. Wtedy bowiem mamy dobry trening, tracony podczas wakacyj. Ciągłość wysiłków daje często doskonałe rezultaty — i jest czynnikiem, który niezmiernie wiele przyczynia się do podniesienia wydajności. Trening + dobra wola, wysiłek niezbędny do pokonania znużenia lub roztargnienia — oto zasadnicze warunki, które indywidualnie należy stworzyć. Znużenie bowiem, zjawiające się w czasie pracy umysłowej, ten pierwszy stopień zmęczenia jest zjawiskiem dla ustroju nieszkodliwem. Sygnalizuje nam ono, że chwilowo grozi nam zmęczenie. Przerywamy na parę chwil, czy też w zależności od indywidualnych potrzeb, na nieco dłuższy przeciąg czasu pracę i wracamy do niej ponownie, zmuszając się do przemożenia uczucia niechęci. Znów następuje okres narastania, pełni i spadku wydajności pracy — nowa faza rytmu: odpoczynek i znów praca.

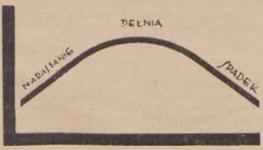
Sprawa stosowania higjeny umysłowej jest zagadnieniem ważnem.

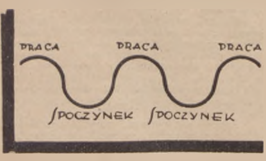
Podczas wytężonej pracy, zarówno fizycznej, jak i umysłowej, w organizmie powstają pewne ciała chemiczne, o trujących właściwościach, t. zw. kenotyksyny. Ciała te, krążąc we krwi, sprawiają, że odczuwamy przykre uczucia zmęczenia, czasami dochodzące do bólu (np. mięśni). Dlatego konieczny jest przy *systematycznej* pracy umysłowej odpoczynek. A więc albo odpoczynek fizyczny — spacer, gry ruchowe na świeżem powietrzu, lub też u osób żywo odczuwających zmęczenie, spokojne leżakowanie również na świeżem powietrzu lub przy otwartem oknie. Warunki mieszkaniowe przeciętne pozwalają na stosowanie tych zabiegów (myślę o leżakowaniu przy otwartem oknie). Sporty zaś są obecnie naogół bardzo uprzystępnione.

I najważniejsze — przystosować się do swego rytmu fizycznego i psychicznego. Spróbować, przy stosowaniu oczywiście pewnych wysiłków, jaki rozkład pracy mi odpowiada, w jakiej porze dnia czuję się najbardziej zmęczona. O ile możliwe w tym krytycznym momencie wypocząć nieco — jednak z drugiej strony, nie ulegać *znudzeniu*, pokusie przerwania zamierzonej pracy, nie rozpraszać się. Zobaczycie, że rezultaty długo na siebie nie każą czekać. Zdobędziecie szybko trening i przyzwyczajenie. A najważniejsze, że będziecie się czuły napewno mniej zmęczone, no i ręczę, że humory będą lepsze.

Dobry rytm, dobre samopoczucie, w związku z ogólnie dobrą wydajnością przy mniejszym w sumie wysiłku — to będą rezultaty reorganizacji pracy umysłowej.

H. Nowosielska.







GASTON CH. RICHARD



CZAR SKRZYDEŁ

TŁOM. STEFANJA HEYMANOWA

(Dalszy ciąg).

Życie było dla Fernanda tylko wielkim „kawałem", żył więc z dnia na dzień, nie troszcząc się zbytnio o jutro Cóż więc dziwnego w tem, że Janka, początkowo trochę oporna wobec śmiechów, żartów i błazeństw tego czułego clowna, wkońcu wpadła w sidła jego radości życia?

Był dla niej zawsze pełen względów.

Pewnego razu poświęcił całą niedzielę, ażeby przy pomocy robotnicy z warsztatów, wybić kabinę Janki płótnem. Z wycieczki do Normandji przywiózł jej piękny dzbanek do mleka, z polerowanej miedzi, błyszczący jak lustro... Na drewnianych drzwiach wymalował jej herb wraz z godłem, przyczem zadał sobie wiele trudu... Nadał jej wdzięczny przydomek „Miss Białoskrzydła", który życzliwie przyjęła, jako pochodzący od niego... Wszystko to stwarzało między nim atmosferę koleżeństwa, wzajemnej sympatji, przyjaźni...

Przyjaźni z domieszką miłości, może?

Przy tej myśli ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi Piotra... A on, on, idjota, który przy tej dziewczynie tak czystej, tak szczerej, tak pełnej ufności, zajął odrazu miejsce uprzywilejowane, co uczynił, ażeby pozyskać jej zaufanie, ażeby ją zdobyć?... Obawiał się, ażeby nie urazić jej delikatności, jej powściągliwości... W tajemnicy, umieścił ją w sanktuarjum swego serca, zapominając — ach, cóż z niego był za głupiec! — że dziewczyna nawet najbardziej uczciwa, najczystsza i najlepsza nie zadawalnia się tem, że jest kochana, pragnie by ją zdobywano...

Zacisnął pięści: bliski był tego, ażeby z bólu krzyczeć.

Fernand ją olśnił, osaczył, zawojował... tak, zawojował... tak samo jak zawojował Magdalenę i jej matkę i ojca... I Janka będzie jego, pewnego dnia, kiedy on tego zapragnie...

Odrzucił papierosa, jednym haustem opróżnił szklankę whisky, wstał i przeszedłszy parę kroków, rzucił się na tapczan, pokryty skórami dzikich zwierząt. I leżąc tak, z twarzą ukrytą w dłoniach, powtarzał szeptem:

— Janko!... O, Boże! Janeczko!...

VII MIĘDZY DWOMA SERCAMI.

„Gryf V", powracając z Londynu lądował nie na lotnisku Bucles - Versailles, lecz na dworcu lotniczym w Bourget.

Olbrzymi samolot o srebrzystych skrzydłach opuścił się na ziemię, niby wielki ptak, toczył się jeszcze z jakie pięćdziesiąt metrów, wreszcie stanął.

Z szarej kabiny, której rozsuwane drzwi dopiero co się otworzyły, wysiadło pięciu pasażerów... Potem ukazał się Wawrzyniec, stary mechanik, idący za Fernandem. Wreszcie, pojawiła się Janka, uśmiechnięta, w skórzanej kombinezie i kasku, przewieszonym przez lewe ramię.

Klemens Durand-Gardel z synem i córką, był na lotnisku.

— Winszuję, Janko — rzekł. — Oto wspaniałe lądowanie! Nie mam potrzeby pytać pani, jak poszło — mówił dalej, zwracając się do Fernanda.

— Była nieporównana... Jeżeli wszyscy tu się znajdujemy, żywi i cali, mamy to jej do zawdzięczenia, — muszę się do tego przyznać, szefie — rzekł lotnik, patrząc na Jankę, z wyrazem podziwu.

— Przyrzekł mi pan nic nie mówić, Fernandzie — odezwała się Janka, nawpół gniewnie, nawpół żartobliwie. — Cóż za gaduła z pana!...

— Co zaszło właściwie? — spytał Piotr, zaniepokojony.

— Zaraz opowiem... Ale chodźmy do sali pilotów, bo tutaj strasznie wieje.

Skierowali się wszyscy w stronę dworca i podczas gdy Janka zdejmowała swą skórzaną kombinezę, podbitą futrem, Fernand opowiadał:

— Opuściliśmy Croydon podczas ładnej pogody: trochę słońca, przejrzystość powietrza — średnia. Anonsowano nam mgłę na południowych brzegach Kanału i na francuskiej północy. W chwili, gdyśmy dolecieli do strefy mgły, Janka bardzo mądrze manewrowała, ażeby osiągnąć większą wysokość; w tem z lewej strony od nas ukazał się nagle wielki holenderski samolot pocztowy, który pędził jak warjat i niewiele brakowało, ażeby nas zaczepił, na wysokości tysiąca metrów od ziemi... Janka nawet nie drgnęła. Z godną podziwu szybkością decyzji, skręciła na prawo i wykonała zwrot w dół z taką szybkością i precyzją, że ten głupiec, który nam wszedł w drogę i omal nie rozbił nas i siebie, przeleciał może ze dwadzieścia metrów ponad nami. Pasażerowie — byli tam lord i lady Hetwitt, lady Farkwarth, André Garangeou i Bertkon były minister finansów — nie zorjentowali się wcale w niebezpieczeństwie, mogę się o to założyć! Ale mnie było dobrze ciepło, zapewniam was. I nie wiem, czy na miejscu Janki, potrafiłbym manewrować tak sprawnie. Teraz, można jej powierzyć każdy aparat. Mogłaby poprowadzić nawet „Kormorana" z Paryża do Moskwy. Naprawdę, to nadzwyczajna dziewczyna! I taka prosta, taka miła! Nie pisnęła nawet, a przecież doskonale wiedziała, że śmierć na nas czyha. Trzeba było widzieć w tej chwili jej twarz i oczy! Marmur nie jest mniej niewzruszony!

Piotr w milczeniu słuchał tego opowiadania. Spuścił głowę.

Dlaczego, w ostatniej chwili, pod pretekstem uporczywego bólu głowy, nie chciał z nią polecieć?

Czy niebezpieczeństwo wspólnie przeżyte nie zadzierzgało nowych węzłów między nią a Fernandem?

Kiedy Janka, po zmianie kostjumu lotniczego na ciemno - szarą suknię i sportowe palto, znów zjawiła się pośród nich, Piotr złożył jej powinszowanie, w sposób wymuszony, prawie ponury.

— Czy pójdziesz dziś do nas na obiad? zwrócił się do Fernanda.

— Nie, mój drogi — odparł lotnik. — Przyrzekłem Jance, że dziś wieczorem pohulamy.

— Co takiego?

— Nie bądź niespokojny. Pójdziemy na obiad do restauracji, a stamtąd do Opery posłuchać dzieła Artura Honeggera „Król Dawid". Będzie to „hulanka" bardzo przyzwoita... Czy chcesz pójść z nami?

— Nie, dziękuję — odrzekł Piotr podrażniony. — Jestem zmęczony i byłbym nudnym towarzyszem.

— Byłby to najlepszy sposób, ażeby się pan rozerwał — odezwała się Janka. — Niech pan pójdzie z nami, Piotrze!

— Proszę mi wybaczyć, ale to już innym razem — powiedział lotnik, ocierając leciutkie kropelki potu ze swych zlodowaciałych skroni.— Nie czuję się dobrze. Mam pogrzebową minę i w tych warunkach byłbym tylko tym, który psuje zabawę...

Mówił to w sposób suchy, nie będący u niego naturalnym. To też spojrzała na niego z bolesnem zdziwieniem, ale nie dostrzegł tego nawet, bo już kierował się w stronę swego auta. Wsiadł i przywołał gestem siostrę. Magdalena powstrzymała spojrzeniem ojca, który wsiadł do drugiego auta z Janką. Fernand zawołał do niej wesoło:

— Do wieczora!... Niech się pani zrobi „na piękną". Przyjadę po panią o wpół do siódmej.

Auta ruszyły, a Fernand podbiegł do swego wozu i rzekł do Wawrzyńca siedzącego już przy kierownicy:

Ruszajmy! Prędko, stary!..

* * *

W samochodzie, Magdalena ujęła rękę brata i ściskała ją w milczeniu.

— Cierpisz, mój biedny Piotrusiu? — rzekła. — I to przez nią... tak jak i ja.

— Co chcesz przez to powiedzieć, kochanie?

— Nie zaprzeczaj — rzekła ze smutkiem. — Kochasz Jankę, a ona cię nie kocha. Woli Fernanda i on... on ją kocha, niestety! Pocóż zjawiła się w naszem życiu? Przyniosła tylko zamieszanie i cierpienia.

— Biedaczka, niewinna temu — powiedział Piotr cichutko.

— Wiem — odpowiedziała Magdalena. — Ale będąc tak prawą, szczerą, lojalną, powinna była niedopuścić do tego, ażeby wdzięk promieniował z niej, jak światło z pochodni lub woda ze źródła... Wiem, że nie uczyniła nic, ażeby odwrócić uwagę Fernanda odemnie, a jednak to się stało.

— Co? ty także? Biedna mała... — szepnął Piotr.

— Tak — przyznała cichutko.

Auto, prowadzone wprawną ręką szofera, posuwało się wzdłuż ulicy de Flandre.

— Przeczułam, że tak będzie, kiedy tylko zjawiła się u nas — mówiła Magdalena przyciszonym głosem. — Przypomnij sobie gest Fernanda, ujmującego ją pod ramię, podczas gdy dotychczas wymieniał ze mną słowa, które wiążą dusze, i wszyscy uważaliśmy go za mego przyszłego męża i twego wspólnika.

— Tak — rzekł Piotr z goryczą.

— Ich zażyłość odtąd ciągle wzrasta... I przyjdzie dzień, prawdopodobnie już niedaleki, gdy nam oznajmią o swych zaręczynach.

Westchnęła.

— Moje biedne maleństwo! — szepnął lotnik, wzruszony tą naiwną skargą. — Poczekajmy! A może się mylimy!

— Ach! Takbym tego pragnęła! — zawołała Magdalena z ożywieniem. — Wszystko mnie w niej pociąga: jej piękność, wdzięk, odwaga. Nie mogę jej nienawidzieć, ale nie mogę też lubić jej tak, jakbym tego pragnęła, jak starszą siostrę, piękną, silną, mądrą... Dlaczego nie pokochała ciebie, który jesteś tem, jako mężczyzna, czem ona jest jako kobieta! Albowiem Fernand, taki wesoły, zachwycający, pociągający i odważny jakim jest, nie dorasta ci nawet do pięt, mój drogi! Ja z nim, ty z nią... Moglibyśmy być tacy szczęśliwi!

Nie odpowiedział, tylko uścisnął swą dużą silną ręką, małą rączkę, która się wcisnęła w jego dłoń... I oboje pogrążyli się w tem samem milczeniu.

* * *

Tego samego wieczoru Janka i Fernand jedli obiad w Cafe Parisien na Avenue de l'Opera.

On w smokingu, ona w wieczorowej sukni, tworzyli parę tak harmonijną i pociągającą wzrok, że wszystkie spojrzenia kierowały się ku ich stolikowi.

Janka tego wieczoru poraz pierwszy włożyła żorżetową suknię, koloru herbacianej róży, na spodzie różowo srebrzystym. Te dwa odcienie, jeden na drugim, dawały efekt mory, jakgdyby wody marszczącej się od powiewu wieczornego wietrzyka, o zachodzie słońca.

Młoda dziewczyna była skromnie dekoltowana podczas, gdy prawie wszystkie kobiety obecne na sali miały dekolty bardzo głębokie. Janka z uwagą przyglądała się sali restauracyjnej, o malowanym i złoconym suficie, udekorowanej rzadkiemi roślinami oraz obiadującym gościom, którzy rozmawiali półgłosem, w łagodnem przyćmionem świetle lamp, osłoniętych abażurami.

W tem, między szmer rozmów, krystaliczny brzęk szkła i przytłumione śmiechy, wdarł się głos skrzypiec i uniósł się na dwuch tonach czystych, przeciągłych, które zdawały się nigdy nie kończyć. Popłynęła arja piękna i tęskna, synkopowana uderzeniami cymbałów. Lecz nagle przeszła w fox-trotta, pełnego werwy o zabawnym rytmie, którym rozkrzyczał się jazzband.

Zaczęły się podnosić pary, a przemykający wśród nich kelnerzy, poruszali się już w tanecznym rytmie.

(D. c. n.)

MODY





Suknia z płótna w pasy. Spódniczka plisowana. Bluzka z baskiną. Kołnierz z białej piki.
Suknia z białego epongu. Karczek z materjału w pasy. Krótkie rękawki. Kołnierz w formie chusteczki.
Suknia z białej piki. Kokarda i pasek niebieskie.
Suknia z markizety w drobny deseń. Góra przybrana pelerynką. Dół spódniczki z odciętą, kloszową falbaną. Pasek z aksamitki, związany z tyłu na kokardę.

NIEMCY HITLERA.

Dojście do władzy Hitlera po ostatnich wyborach do parlamentu w Rzeszy, spodziewane oddawna, wobec coraz większego wzrostu siły partji narodowych socjalistów, miało rozwiązać nareszcie pytanie, stawiane przez wszystkich, jak ukształtują się Niemcy Hitlerowskie, jakie zmiany zajdą w ich życiu wewnętrznym i zewnętrznym. Odpowiedź na to dały już pierwsze dni panowania hitlerowców — bowiem odrazu stało się jasnem, że dojście ich do władzy odsłoniło tylko właściwe oblicze Niemiec i ukazało światu groźbę odwetowych, a zarazem imperjalistycznych dążeń Niemiec, dość starannie dotąd maskowanych przez obłudną i ostrożną grę podrzędnych rządów Rzeszy. Dotychczasowy system powolnych i cierpliwie osiąganych zdobyczy, pozwolił Niemcom na zrzucenie pokolei wszystkich niemal ciężarów i więzów, nałożonych na nie po wojnie (a więc — zredukowania do minimum odszkodowań, które miały płacić Niemcy, przedterminowe zniesienie okupacji przez Aljantów Nadrenji, a wreszcie, podjęte ostatnio próby przywrócenia równouprawnienia Niemiec pod każdym względem). Niemcy Hitlera zrywają otwarcie z tym systemem, uważając widocznie, że na tej drodze nie posiadają nic więcej do uzyskania, wprowadzają natomiast swój system, który jest poprostu apoteozą siły. Mówi tu sam za siebie bieg wypadków, specjalnie jaskrawo zaznaczonych w życiu wewnętrznym Niemiec.

HITLEROWSKIE METODY DZIAŁANIA.

Po objęciu władzy i krwawym rozprawieniu się z opozycją (socjalistami i komunistami), narodowi socjaliści, oparci jeszcze wciąż na koalicji z prawicą (narodowo-niemieccy) i centrum zawieszają parlament naczas nieograniczony, po uchwaleniu przez niego dyktatorskich pełnomocnictw dla Hitlera na 4 lata. Wówczas, nie oglądając już się zanadto na dotychczasowych sojuszników, z którymi już coraz mniej się liczy, rozpoczyna wódz narodowych socjalistów w ogromnych rozmiarach prowadzoną i bezwzględną „gleichschaltung" (równanie), która polega na wprowadzaniu wszędzie hitlerowców — zarówno w urzędach państwowych jak i gminnych, w zawodach wolnych (lekarzy, adwokatów, profesorów i t. d.), a wreszcie w ośrodkach oddziaływania na opinję publiczną (teatrach, bibljotekach, uniwersytetach, radjostacjach i t. d.).

ANTYŻYDOWSKA AKCJA HITLEROWCÓW.

Ten system „równania" został połączony i jakby uzupełniony akcją antyżydowską, prowadzoną z bezwzględnością i okrucieństwem prawdziwych barbarzyńców. Zaczęto od bicia i znęcania się, a nawet zabijania żydów, dając tym hasło do planowej akcji usuwania żydów z życia Niemiec, wyzuwania ich z majątku i praw. Dzisiaj w prześwietnej Rzeszy Niemieckiej, która tylokrotnie, a bezpodstawnie oskarżała Rząd Polski przed Ligą Narodów o ciemiężenie mniejszości, gwałcone są w sposób niepraktykowany prawa i zagrożone życie najliczniejszej mniejszości w Niemczech, jaką są żydzi.

ODWETOWE DĄŻENIA WOBEC POLSKI.

Zgodnie z tym formalnym kultem siły pięści, nie kryją Niemcy więcej swych odwetowych i zaborczych tendencyj, i rząd niemiecki mówi dziś jawnie ustami swych czołowych przedstawicieli, samego Hitlera, Goeringa (premjera pruskiego), Rosenberga (kierownika polityki zagranicznej partji hitlerowskiej), że ziemie, które im odebrano (a które przez nie w swoim czasie były zrabowane) — a więc Pomorze, Górny Śląsk — muszą zdobyć z powrotem dla siebie. Zmienił również swój system rewizjonizm niemiecki, który dotąd ostrożnie za pomocą pseudo naukowych argumentów, próbował przekonać cały świat o konieczności zmiany granic przez Traktat Wersalski nakreślonych. Dziś argumentami temi są zwykłe i niewybredne kłamstwa, jakiemi się posługują poprostu ich urzędowi przedstawiciele.

ZNAMIENNA DEBATA PARLAMENTU ANGIELSKIEGO.

Ta postawa Niemiec otrzeźwiła cały świat niemal, czego najlepszym dowodem było posiedzenie izby gmin (parlamentu angielskiego), gdzie najwybitniejsi przedstawiciele wszystkich stronnictw ostro potępili Niemcy Hitlera, jako uosobienie dawnego imperjalistycznego ducha i brutalnych metod pruskich. Najdobitniejszą mowę wygłosił na wstępie były minister spraw zagranicznych, Austen Chamberlain, który stwierdził, że z obecnemi Niemcami nie można mówić o żadnych ustępstwach i ślepym byłby ten rząd angielski, któryby uznałby za możliwe odstąpienie choćby jednego polaka pod panowanie Niemiec. Do tego zdania przyłączyli się inni mówcy, jak Churchill, były minister wojny i skarbu, płk. Wedgwood, mjr. Athlee, spotykając się z całkowitą aprobatą Izby. Te przemówienia, wskazujące na całkowite otrzeźwienie Anglji wobec Niemiec, wywołały żywe echo na całym świecie, znajdując wszędzie zrozumienie i poklask. Specjalnie mile powitane były u nas, w Polsce, gdzie do tych uwag dodane być musi jednak jedno zastrzeżenie, że my, Polacy, nietylko z temi, ale i z żadnemi innemi Niemcami o rewizji naszych granic nigdy mówić nie będziemy.

OBŁUDNA GRA HITLEROWCÓW.

Oburzenie opinji publicznej, a specjalnie potępienie ze strony Anglji, zaniepokoiło jednak z kolei Niemcy Hitlerowskie, zaczęto więc tłumić brutalność metod, przestrzegać ścisłego milczenia o tym ,co się w kraju dzieje, i głosić wszędzie, że wszystko, co o nich doniesiono, jest oszczerstwem, próbą podburzenia przeciw nim świata i rozpętania wojny. Niedźwiedzia polityka niemiecka zwracała to oskarżenie na Polskę, zapominając widocznie rozmyślnie o tem, że Polska zawsze deklarowała wobec nich swą chęć zgodnego współżycia, proponując dwukrotnie nadaremnie zawarcie paktu nieagresji. Nie dość na tem, aby zmniejszyć w oczach świata swą winę, próbują Niemcy wzniecić rozruchy antyżydowskie i w innych krajach. Łatwo jednak przejrzeć tę grę i zarówno w Polsce, jak i w innych krajach, metody niemieckiego okrucieństwa nie znajdą naśladownictwa, otrzymując należytą odprawę.

FIASKO PAKTU CZTERECH.

Śmiało można powiedzieć, że wypadki w Niemczech nie mało przyczyniły się do zaniechania myśli paktu czterech ,a powyżej wspomniane posiedzenie Izby Gmin, było jakgdyby ostatecznym jego pogrzebem. Już skutecznym przeciwstawieniem się temu paktowi, którego mocą cztery mocarstwa, Anglja, Włochy, Francja i Niemcy miały dyktować swą wolę pozostałym państwom, był odrazu na początku kategoryczny protest państw t. zw. Małej Ententy — Czechosłowacji, Rumunji i Jugosławji — oraz zdecydowane stanowisko Polski. Nie pomogły już później tłomaczenia inicjatorów niefortunnego pomysłu, że w razie dyskutowania spraw obchodzących inne państwa, będą one każdorazowa zapraszane do uczestnictwa w obradach. Ze strony naszej dano na to wyraźnie do zrozumienia, że z tego dostawionego do stołu krzesełka, Polska nigdy nie skorzysta.

WIZYTY RZYMSKIE.

Dalszym wynikiem tej zmiany stanowiska opinji angielskiej wobec Niemiec, były załosne rezultaty, zapowiadanej triumfalnie przez Rzeszę wizyty niemieckich mężów stanu, Papena i Goeringa w Rzymie. Włochy zorjentowały się po niewczasie, że wielkie projekty paktu czterech nie dadzą się zrealizować i ze swej strony ostudziły zapał niemiecki, zapraszając równocześnie do Rzymu austrjackiego kanclerza Dollfussa. To zaproszenie znanego przeciwnika idei Anschlussu (unji Niemiec z Austrją — idei tak drogiej dla Rzeszy) i wyraźne wyróżnienie go wobec gości niemieckich, musiało odpowiednio zdetonować a zarazem zaniepokoić pp. Goeringa i Papena.

OŚWIADCZENIE BENESZA.

Na tle tych wszystkich wydarzeń zanotować jeszcze musimy znamienną mowę czechosłowackiego ministra spraw zagranicznych, Benesza, który oświadczył w parlamencie, że „Polityka zagraniczna Czechosłowacji ma zamiar ustalić z Polską podstawy przyjaźni wiecznej i stałej, zdolnej nadać odtąd stosunkom naszym charakter wspólności interesów naszych obecnych i przyszłych oraz wspólność przyjaznych uczuć". Oświadczenie to, mile przez nas witane, jest jednym więcej dowodem tego, że znak „swastyki" — symbol dzisiejszych Niemiec — przyczynia się do coraz większego jednoczenia i powstawania wspólnego frontu tych krajów, którym zagraża imperjalizm niemiecki. *M. K.*

W DNIU DOBREJ WOLI

Co roku w dniu 18 maja, z inicjatywy „Unji Zgody Narodów", młodzież całego świata obchodzi uroczyście t. zw. dzień dobrej woli.

Minęły straszne dni wojny, których grozę mogą pojąć tylko ci, którzy brali w niej udział.

Polityce całego świata zastanawiają się wciąż nad tem, jak zapewnić pokój i zgodę, zapobiec wojnie, która wali w gruzy wszystko, co dobre i święte.

Polska, jako kraj, w którym wolność ceniono od wieków, jako najpiękniejszy klejnot pragnęła także przysłużyć się temu dziełu. Na konferencji rozbrojeniowej w Genewie rzuciła głośny w świecie projekt rozbrojenia moralnego, rozbrojenia dusz ludzkich, wyplenienia z nich nienawiści i nieufności.

Sceptycy twierdzą, że projekt ten jest utopją, że moralny wpływ niema żadnego znaczenia, że poznanie się narodów nie może wpłynąć w dostatecznej mierze na zapewnienie pokoju.

Tak nie jest. Poznanie bliższe, czy krótkotrwałe nawet współżycia ludzi różnej narodowości wywiera ogromny wpływ na ogólne ustosunkowanie się ich do danego narodu. Każdy dobry czyn, każdy akt dobrej woli, każde poświęcenie pozostaje w pamięci i wyrównywa przepaść sztucznie wykopywaną między narodami.

Z licznych moich wspomnień z czasów wielkiej wojny, kiedy pracowałam na froncie zachodnim, jako siostra francuskiego Czerwonego Krzyża (Union des femmes de France) przytoczę tu jedno.

Podczas walk na rzeką Sommą, został ranny żołnierz Teodor Rome. Szrapnel ranił go ciężko w nogę tak, że dla uratowania jego życia konieczna była amputacja nogi powyżej kolana.

Gdy naczelny lekarz powiadomił go o konieczności operacji, Rome uzależnił swą zgodę od mojej decyzji. Gdy go przekonałam, że amputacja jest niezbędna — zgodził się, lecz pod warunkiem, że nie odejdę od niego ani na chwilę podczas operacji. Tak się też stało. Rome został uratowany, ale z wielkim trudem. Stan ciężki trwał parę tygodni, wreszcie przeszedł w okres rekonwalescencji. Od tego czasu przyjaźń nasza spotęgowała się, chory mój na każdym kroku okazywał mi wielkie zaufanie i przywiązanie.

Po wojnie Rome odznaczony medalem wojskowym, jako inwalida, otrzymał posadę portjera w liceum w Besançon. Znalazł zacną kobietę ze wsi, z którą się ożenił.

Nasza korespondencja od czasu wojny do dnia dzisiejszego nie została przerwana, Rome uważa mnie za swą duchową przewodniczkę i zasięga mojej rady we wszystkich swych projektach życiowych. Przed rokiem na usilne prośby Roma i jego rodziny odwiedziłam ich w Besançon. Gdy weszłam do mieszkania, spostrzegłam na honorowem miejscu moją fotografię ozdobioną kwiatami.

Dzieci Roma odnosiły się do mnie, jak do członka rodziny i opowiadały mi, — że codzień po pacierzu mówią mojej fotografji dobranoc „Bonne nuit a la dame". Tak je nauczył ojciec.

Mała Paulette zwierzyła mi się, że wybiera się do Polski i czeka tylko zaproszenia z mojej strony. Teo zaś przyniósł mi w darze swój najcenniejszy skarb, kolekcję marek pocztowych.

Te wzruszające objawy przywiązania przychodzą mi zawsze na myśl, gdy mowa jest o obojętności ludzkiej.

Sądzę, że ten drobny epizod, być może jeden z wielu, może doprowadzić do wniosku, że współżycie i poznanie się wzajemne jest spójnią, której sztuczne wysiłki rozerwać nie zdołają.

W dziedzinie wzajemnego porozumienia się narodów młodzież ma przed sobą piękne zadanie do spełnienia.

Wanda Ładzina.

NAJMNIEJSZY OGRÓDEK

Zaledwie wiosna zbudzi się i z pod ziemi ukażą się pierwsze kwiaty, już pełno dzieci w ogrodach, na łąkach i na ulicach. Oblężone są zwykle przez dzieci masy zwiezionego piasku, w którym kopią groty i stawki, lub zakładają maleńkie ogródki.

Ogródkami bawią się również i dzieci starsze, chodzące już do szkoły, brak im jednak świadomości, jakie cudeńko można zrobić na małym kawałku ziemi.

Podajemy więc starszym plan ogródka, mającego zaledwie $1^{1}/_{2}$ mtr.^{2}. Można go założyć gdziekolwiek, gdzie mamy własną ziemię.

Ażeby mieć przez całe lato prawdziwą przyjemność z ogródka musimy najpierw skopać doskonale ziemię szeroką łopatką, wybrać grabiami wszystkie chwasty i kamienie i rozbić starannie grudki ziemi.

Następnie musimy wytyczyć choćby największe ścieżynki, by można wokoło grządek i rabatów obejść przy plewieniu i podlewaniu.

W tym celu wbijamy w jednym rogu drewniany kołek, przywiązujemy długi mocny sznurek i wymierzamy nim równą linję, aż do następnego rogu.

Od tej pierwszej linji robimy kwadrat w ten sposób, że podług wyciągniętego sznurka odrzucamy łopatką ziemię na parę cm. Gdy już kwadrat równiutko odznaczony, wytyczamy ścieżki według planu, a ziemię zebraną z nich odrzucamy na środek grządki, którą w ten sposób podwyższamy. Po zrobieniu wszystkich ścieżek, ubijamy je odpowiedniem narzędziem, które sporządzamy z deski, tak szerokiej, jak ścieżka. W środek tej deski wprawiamy drążek i tem narzędziem ubijamy ziemię, uważając, ażeby brzegów grządek nie naruszyć. Gdy już mamy tak urządzony ogródek, sadzimy kwiaty. Jeżeli podzielimy go w ten sposób, że na środku mamy podwyższone koło, to wbijmy najpierw w środek palik, wysoki 1 do $1^{1}/_{2}$ m., wokoło klombu zaś umieśćmy kilkanaście niskich palików, zaciętych u góry w karby. Do tych palików przywiążmy cienkie druty, które następnie umocujemy u środkowego słupka.

W ten sposób utworzy się stożek, służący za podstawę do podtrzymywania pnącej się rośliny. Obok każdego małego palika wsadzimy po dwa ziarenka pachnącego groszku, który kwitnie całe lato i ma bardzo piękny zapach.

Na taki mały klombik potrzeba jedną porcję t. zn. kilkanaście ziarenek.

Najlepsze są do tego celu groszki wysokopienne na 1 — $1^{1}/_{2}$ mtr. Nazywają się:

„Cesarzowa Indji" — różowy z białem.

„Monarch" — purpurowy.

„Błękitny ptak" — śliczny, niebieski.

„Płomień" — szkarłatny.

Wreszcie groszek pachnący, różnokolorowy. Porcja takiego groszku kosztuje od 25 gr., można więc pozwolić sobie na taką całoletnią przyjemność.

Brzegi klombu najlepiej obsadzić sadzonkami bratków, które kwitną również całe lato. Musimy jednak uważać na dobór kolorów.

Boczne grządki możemy obsadzić stokrotkami wielokwiatowemi, lub pomarańczowemi „nagietkami" o pięknych, aksamitnych kwiatach. Wszystkie te nasiona są bardzo tanie, a przy odpowiedniej pielęgnacji bardzo dobrze udają się. Jest wreszcie cały szereg innych nasion.

Marja Stefkowa.

W następnym numerze

dalszy ciąg

Konkursu Literackiego

z Kuponem Nr. 2.

BRATNIE DUSZE

Kochana „Szarotko"!

Jeżeli myślisz, że tylko „smarkate" do „smarkatych" odzywać się muszą, to się grubo mylisz. Wyobraź sobie, że jestem o 5 lat starsza od Ciebie, a chcę (o ile Ty się na to zgodzisz) korespondować z Tobą w „Bratnich duszach". Napisz mi tylko, co Cię głównie interesuje, czy podróże (podróżowałam dużo), czy sztuki piękne (lubię je bardzo), czy literatura. Jesteś wesoła, czy poważna? i t. d., a ja postaram się memi odpowiedziami Cię zainteresować. Dobrze? Ściskam Cię

[illegible]

Kocham piękno, we wszystkich jego przejawach. Interesuje mnie życie szkolne, muzyka, kino, czytanie i wogóle wszystko, co piękne i ciekawe.

Chcę korespondować, aby znaleźć przyjaźń. Bo wszak ona istnieje na świecie.

„Uśmiechnięta Wandka".

Do „Bratnich Dusz".
Kochane Siostrzyczki!

Która z Was zechciałaby ze mną korespondować? Mam lat 19-cie. Kocham przyrodę, lubię gospodarstwo i roboty ręczne, interesuje mnie harcerstwo i t. d.

Mieszkam wśród lasu, nie mam tutaj żadnej rówieśniczki, może, która z Was zapuka do mojej pustelni. Odpiszę zaraz.

Marynka Gryblewska
pocz. Niechaczewo, maj. Goszczewo, przy st. kol. Kossów Poleski.

Kochane „Bratnie duszyczki"!

Mam lat 12-cie, kocham „Świat dziewcząt", książki, kino i muzykę. Jestem rodowitą mieszczanką, a lubię i mieszkam teraz na wsi. Jestem na stancji u wujostwa. Przerabiam 2-gą klasę gimnazjalną. Jeżeli któraś z bratnich duszyczek uczy się języka francuskiego, to z przyjemnością będę do niej pisała, a zarazem ćwiczyła się w języku francuskim. Angielski język przerabiam, lecz pierwszą klasę gimnazjalną.

Zwiedziłam parę większych miast w Polsce, jak: Warszawa, Kraków, Poznań i Gdańsk. Łódź znam najlepiej, gdyż się w niej urodziłam. Jeżeli znajdzie się jakoś bratnia dusza i napisze do mnie list, niech adresuje do W. P. A. Lorenza, pocz. Tarnowice k/Jasła, „Gorziemny", Winnica, z dopiskiem: dla U. K.

[illegible]

Kochane czytelniczki „Świata Dziewcząt"! Przyłączam się do Waszego grona i pragnę bardzo korespondować z jakąś bratnią duszyczką. Co lubię? Sport, kino, muzykę, wycieczki, czekoladę i wogóle słodycze, nie lubię natomiast zajęć domowych i... zbytniego przemęczania się nauką. Stąd też wywodzi się mój pseudonim „dwujołap". Jeżeli, która z Was uzna mnie za pokrewną duszę, to proszę pisać na następujący adres: WP. Bydliński, Warszawa, ul. Nadwiślań[illegible]

A teraz parę słów do „dziewczątka" z czeskiej ziemi: Wielbicielko szklanych paciorków! Bardzo chętnie nawiązałabym z Tobą korespondencję, a wiesz dlaczego? — Bo jestem taką samą „studentką z 7-ej klasy", jak Ty. Czuję się coprawda mocno dotknięta w swej dumie Warszawianki za tak niesprawiedliwe wyróżnianie Lwowianek. Myślę jednak, że całkowitą winę ponosi tu Kornel Makuszyński. Oczekuję z utęsknieniem odpowiedzi.

Dwujołap.

Która z Janek od lat 13 — do 15 chciałaby korespondować z Janką, wesołą, lubiącą sporty, „Kino" i kino, niech napisze do Słonima

Janina Falkiewiczówna
Kościelna 16.

I ja zwracam się z apelem do wszystkich czytelniczek, żeby któraś z nich do mnie napisała. Co do mych właściwości zewnętrznych — oto one: brunetka z niebieskiemi oczami, średniego wzrostu i posiadająca dwa dołeczki na [illegible]

Przyroda i muzyka, to są dwie rzeczy, które uwielbiam. Poza tem mam lat szesnaście, jestem w 7-ej klasie gimnazjum. Kto ma ochotę ze mną korespondować ,to bardzo proszę. Jestem bardzo wesoła i żywa.

Adres mój: *Wanda Faustówna*, Pabjanice, Św. Rocha 3.

Mam lat 15 i jestem w VI-ej klasie. Uwielbiam „Świat Dziewcząt", kino, książki, konie, a przedewszystkiem sport. Ponieważ wyczytałam w dziale „A teraz porozmawiamy", że i w Ameryce są prenumeratorki „Świata Dziewcząt", więc prosiłabym, żeby któraś z nich zechciała do mnie napisać, gdyż bardzo chciałabym poznać ten ciekawy dla mnie kraj. Przypuszczam, że Amerykanki nie odmówią mej prośbie i chociaż jedna napisze do mnie list pod adresem:

Mila Kaczorowska.
Płock, ul. Królewiecka 25 m. 2.
(Polska).

Szalenie lubię „Świat Dziewcząt", zajęcia kobiece, ładne książki, np. Marji Rodziewiczówny, sporty i muzykę lekką. Jeżeli któraś z Czytelniczek ma takie same zamiłowania proszę o napisanie.

Mój adres: Janina Łojkówna — Wilno — Zarzecze 8—12. Wszystkim Czytelniczkom przesyłam pozdrowienia.

P. S. „Bratnia dusza" nie może być zbyt starą, t. zn. nie powinna mieć więcej, niż 17 lat.

Serwus, miłe Czytelniczki „Świata Dziewcząt"! Tu odzywają się dwie przyjaciółki — „Baja" i Wawa". Kto będzie chciał do nas napisać? Jesteśmy bardzo wesołe i miłe. Bardzo lubimy kino, wszelkie rodzaje sportów, taniec, zwierzęta i „Świat Dziewcząt". Mamy dopiero 14 lat i pragnęłybyśmy, aby jedna z miłych Czytelniczek o podobnym do nas usposobieniu napisała do nas. Zwiedziłyśmy trochę świata, byłyśmy we Francji, we Włoszech, w Szwajcarji, w Czechach, w Austrji, w Niemczech i w Tyrolu. Umiemy trochę po francusku. Czekamy na odpowiedź.

„Wawa" i [illegible]

P. S. Jeżeli któraś z Czytelniczek, zechce do mnie napisać w języku francuskim, to odpiszę z przyjemnością w tym samym języku.

„Wawa".

Adres: Wawa Reyndlówna — Warszawa — Marszałkowska 79 m. 7.

Drogie Czytelniczki, gdyby któraś z Was była tak miła i napisała do mnie w języku angielskim, byłabym jej bardzo wdzięczna, gdyż umiem mówić w tym języku, ale zapominam potrochu.

Ogromnie proszę o odpowiedź.

Bajka Hertzówna.

Adres mój: Bajka Hertzówna — Warszawa, Al. Ujazdowskie 17.

KTO TO ROZWIĄŻE?

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 4.

13. KWADRAT MAGICZNY.

N	E	F	A	S
E	R	A	T	O
F	A	R	O	N
A	T	O	L	E
S	O	N	E	T

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 7.

LOGOGRYF.

M	Y	**Ś**	L	I
N	O	**W**	E	J
Ś	N	**I**	M	Y
P	R	**A**	C	Y
W	I	**T**	A	J
I	U	**D**	Z	I
D	O	**Z**	N	A
Ś	W	**I**	T	A
W	I	**E**	L	E
Ł	A	**W**	K	A
Ż	Y	**C**	I	E
O	R	**Z**	E	Ł
P	R	**Ą**	D	Y
Ł	A	**T**	W	A

SZARADA.

Mar - ce - li - na

Marcelina

Trafne rozwiązania zadań z nr. 4 „Świata Dziewcząt" nadesłali:

Chełmno: Frankiewiczówna Marja. *Chocznia:* Muzykarzówna Aldona. *Cieszyn:* Jasicka Zdzisia. *Golków:* Orzeszko Halina. *Kalisz:* Czaplewska Tamara. *Katowice:* Domirska Janeczka, Gerstmanówna Anna. *Kielce:* Jędruchowa Marta. *Kotlin:* Skoroszewska Zochna. *Końskie:* Piekarska Zofja. *Kraków:* Birczyńska Zosia, Ordyńska Jadwiga, Sołtysówna Daniela. *Lwów:* Gorblicka Krysia, Łesiukówna Anna, Mucha Marja. *Myślenice:* Nowakówna Felicja. *Nowy Sącz:* Barbacka Olga, Hodolijówna Danuta, Sokalska Adelajda, Szaflarska Danka. *Płock:* Grabowska Halina, Kaczorowska Mila. *Poznań:* Proniewska Halina, Stradzianka Jadzia. *Tarnów:* Podsońska Renata. *Toruń:* Linowska Hanna. *Warszawa:* Chybińska Jadzia, Koszutowska Hanna, Kozłowska Hanka, Pągowska Irena, Rechtzygiel Lucyna, Słowikówna Wanda, Strubel Marja, Wiśniewska Wanda, Wiśniewski Franciszek, Wiśniewski Kazimierz. *Wilno:* Francikowska Krysia. *Zawiercie:* Banachiewiczówna Zochna.

Nagrody wylosowali:

1. *p. Olga Barbacka* z Nowego Sącza. 2. *p. Hanka Kozłowska* z Warszawy. 3. *p. Zochna Skoroszewska* z Kotilna.

A TERAZ POROZMAWIAMY!

Jadźce.

O, jakie to sympatyczne: posłuchaj sama co piszesz:: *Szkołę naszą kochamy tak, jak nasz dom. P. Przełożona jest tak dobra, że wszystkie przepadamy za nią. A jeśli koleżanka chce znaleźć drugą, a w domu jej niema, z całą pewnością idzie do szkoły, gdzie znajdzie ją napewno albo w świetlicy przy robótce, albo w czytelni, albo słuchająca radjo. Jest to miejsce, gdzie najwięcej przebywamy, nie licząc naturalnie, domu"*..

Własno-myślnie ułożony regulamin, zasady klasowe i sejmik. Dobrą masz szkołę Jadźko, i śliczny do niej stosunek. Do Chinki napisz pierwsza, dołącz znaczek, a my list jej prześlemy.

Wasza stronica — czeka na ciebie. Napisz np. jak *doszłyście* do tych najlepszych własnych regulaminów, których potem jest miło przestrzegać.

Redakcja.

Dwujołap.

Czyż naprawdę piszemy zadużo o przyrodzie? Nie przypominamy przecież wam o uzębieniu lisa ani procesie zapylania — a czyż można było przemilczeć wiosnę? To okazało się nad nasze siły! Masz wiadomości harcerskie raz poraz — czy ich nie zauważyłaś? Bardzo dziękujemy za życzenia — napisz jeszcze, dwújkołapko!

Rosie.

Nie zmieniaj, kotku, pseudonimu raz poraz, bo robisz nam bałagan w kartotece. „Nieznani ludzie" (czyż jesteśmy tak zupełnie nieznani?) są przedewszystkiem b. dyskretni i o całość swoich zwierzeń możesz być zawsze spokojna. Nie warto się zakochiwać par force. Jest to b. absorbująca i kłopotliwa sprawa, więc można spokojnie poczekać aż przyjdzie sama. Prędzej czy później złapie się taką falę na swoją uczuciową antenę. Cieszysz się tymczasem wiosną dla wiosny. Piszesz, że jesteś „niedzisiejsza", spokojniejsza i może głębsza. Czyżbyś i ty dała się zasugerować opinji, że współczesne dziewczyny mają „pstro" w głowie, myślą tylko o sportach, zabawach i t. p. Typ człowieka jest tak różnolity, Roso. Więcej niż kiedykolwiek, dziś właśnie, kiedy wyjdziesz ze swego środowiska i rozejrzysz się — zobaczysz ile i nasza epoka ma głębi, napięcia i skupienia. Wszyscy co tworzą jakieś dzieło, wielkie dzieło życia, nie będą się rozbijać na tysiące okruchów. Wypracuję swoją ważną rzecz w ciszy i odosobnieniu (jeśli jest to wyczyn pojedynczy, nie praca nad grupą ludzką np.). Znajdziesz i wiele, podobnych sobie, Roso. Masz szczęście do długich odpowiedzi, czy nie?

Serdeczny uścisk dłoni.

Natce L.

Dziękujemy za życzenia!

Wiesi i Lali.

No był przecież artykuł o górach i jeszcze będzie z okazji wycieczek. Czy nastrój ciszy i skupienia trwa jeszcze? Czy macie ogród w Jarosławiu? Czy będą w nim słowiki? Trudno — Redakcja ma wiosnę w głowie i niema na to rady. Opiszcie coś bliżej o waszem otoczeniu i warunkach pracy. Nawzajem, do prędkiego listownego porozumienia.

JAK PRENUMEROWAĆ NASZE PISMO?

Zawiadamiamy nasze czytelniczki, że:

1) Prenumeratę czasop. „Świat dziewcząt" można wpłacać w każdym Urzędzie pocztowym na nasze konto w PKO. Nr. 18.800, lub wysyłać należność przekazem pocztowym (kosztuje 2 gr.). W razie nieposiadania blankietów nadawczych PKO., formularze blankietów nadawczych PKO. można nabyć w Urzędzie pocztowym. Kosztują 5 gr. Każdy urzędnik na poczcie wytłomaczy co i jak.

2) Celem uniknięcia przerwy w wysyłce pisma należy prenumeratę wpłacać zawsze zgóry. Prosimy o rychłe wpłacenie należności za II kwartał i miesiąc maj.

3) Przy zmianie miejsca pobytu, prosimy o podanie nowego i dotychczasowego adresu, oraz załączanie 50 gr. na koszta związane ze zmianą adresu (znaczek pocztowy, lub przy opłacie prenumeraty).

4) W razie nieotrzymania któregokolwiek N-ru prosimy o zawiadomienie nas o tem najdalej w ciągu 10-ciu dni od daty wyjścia odnośnego N-ru, ponieważ spóźnionych reklamacji poczta nie uwzględnia.

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 10.—; półrocznie — zł. 5.—; kwartalnie — zł. 2.60; miesięcznie — zł. 1.—.
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy. Szerokość 1 łamu 54 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

Redaktorki: Hanna Januszewska-Moszyńska i Wanda Borudzka. Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ".

Redakcja i Administracja: Solec 87, tel. 244-18 i 787-08. Konto P. K. O. Nr. 18.800
Redaktorki przyjmują w poniedziałki i środy od godz. 11 do 13.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.